

PRZEGLĄD
P O L S K I.

ROK IX.

Zeszyt XI. Miesiąc Maj 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W Drukarni Leona Paszkowskiego
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1875.

DRAMAT
BEZNAZWY.

Obraz sceniczny w 5 aktach

przez

BEZIMIENNEGO AUTORA.

Uwieczony drugą nagrodą na konkursie krakowskim r. 18⁷⁴/₇₅,
a odsunięty *nateraz* od przedstawienia na scenie przez cenzurę.

O S O B Y.

MATKA.
LINCIA, jej córka.
JAN, jej syn starszy.
JULIUSZ, jej syn młodszy.
STANISŁAW, ich krewny.
NINA, młoda wdowa.
AGATA, jej ciotka.
ZDZISŁAW, brat Agaty.
ANNA, żona Zdzisława.
IGNACY } ich bliźcy krewni.
JAKÓB }
RYSZARD }
PIOTR } właściciele ziemscy.
PAWEŁ }
JOZAFAT, komisarz rządu narodowego.
KOSTUSIA, służąca.
WINCENTY, lokaj.
BARANKIEWICZ, ekonom.
ROCHA, kupcowa.
WŁOŚCIANIN stary, i dwóch młodych chłopów.
KSIĄDZ BOLESŁAW.
KOMENDANT fortecy.
ADJUTANT.
PORUCZNIK, w trzecim akcie.
KAPITAN, w czwartym.
OFICER ŻANDARMÓW w więzieniu.
DOZORCA więzienia.

Żydzi, lud, stróże, gimnazyaści, żołnierze, baby
i dziady kościelne, kumowie, zakrystyan, osoby mo-
dlące się w kościele.

Rzecz dzieje się w jednej z prowincyj dawnej Polski w r. 18

A K T I.

Scena 1.

Dom Matki w miasteczku na prowincyi — salonik ładnie umeblowany — drzwi w głębi — na prawo wejście do pokoju Matki, na lewo do pokoju Linci — Matka i Lincia wracają z kościoła, z książkami do nabożeństwa w rękę.

MATKA, siadając przybita na duchu.

Szał, szął, i nic więcej jak opłakany szął.

LINCIA z czułością.

Mamciu droga!

MATKA.

Czy widziałaś te dwie kobiety, które dziś podczas nabożeństwa weszły do kościoła?

LINCIA.

Jakieś nieznanome, które się zapewne przejazdem na chwilkę zatrzymały w naszym miasteczku.

MATKA.

Widziałaś, jak były ubrane? świtki samodziałowe, szamerowane taśmami, czworograniaste/zapeczki na głowie, krzyż z figurą Zbawiciela na piersiach...

LINCIA.

Ale Mamciu, krzyż ten...

MATKA.

To tylko demonstracya! Wiem o tem — to słowo mi obrzydło! Popisywanie się godłami najświętszemi, to nadużycie straszliwe! Wszak korony cierniowe haftują dziś wszędzie, na mankietach, na kołnierzykach; robią z nich nawet ubiorki na głowę, strojąc je we wstążki i kwiaty — ta ostentacya mię oburza... bo to profanacya!... Czyż na tem miłość ojczyzny zależy? Wierz mi, dziecię moje, gdzie jest miłość prawdziwa, tam ona tkwi głęboko i oczom ludzkim się nie narzuca. Szumowiny tylko zawsze wybijają się na wierzch! Czy te panie choć przyklekły przynajmniej, czy się choć pomodliły chwilkę?

LINCIA.

Nie wiem mamciu, nie widziałam.

MATKA.

Ani ja. Zdawało się, że przyszły tylko, aby się pokazać w świtkach i samodziale, i pogardliwym wzrokiem zmierzyć pospolite istoty, które w tych nadzwyczajnych czasach zwyyczajnym postępują torem. Ach! ta świtkowa maskarada to nasza czapka frygijska, nasza bluza, nasza czerwona koszula!... (po chwili milczenia) Być może, iż przyjdzie czas, w którym szczęśliwi będziemy, jeśli choćby na samodiał nam starczy! Wtenczas w pokorze i ubóstwie ducha będziemy się nim odziewały, dziękując Bogu i za to. Lecz kto przed czasem i bez potrzeby popisuje się tem, co w gruncie serca dla siebie najbardziej nienawidzi, ten gra obrzydłą Bogu i ludziom komedję, której rozwiązanie nie może być inne, jak smutne. (zmieniając ton) Gdzież bracia, Linciu, nie wiesz?

LINCIA.

Byli obaj w kościele, ale wyszli przed nami. Jan pewnie zajęty, a Julek...

MATKA.

Biedny Julek... jakże się o niego boję!

LINCIA.

Nazbyt się już o wszystko trwożysz i niepokoisz, mamciu droga!

MATKA.

Jan chmurny, zamyślony, Julka nigdy prawie w domu nie ma.... Cóż dziwnego, że okrutny niepokój dręczy serce moje?

LINCIA.

Mamciu, słyszę kroki Jana!

Scena 2.

CIŻ SAMI, JAN.

JAN, całując matkę w rękę.

Dzień dobry, droga matko. Tak wcześniej, a już byłaś w kościele? (siostrę całuje w czoło).

MATKA.

Toć to cała nasza pociecha w tych okropnych czasach.
Zkądże wracasz?

JAN.

Z poczty. Przynoszę właśnie gazety.

MATKA.

Cóż one dziś donoszą?

JAN.

Dobrego, nic.

MATKA.

Krew zawsze płynie?

JAN.

Niestety!

MATKA, z boleścią.

O, Boże! kiedyż to się skończy!...

JAN.

Nasi biedacy wciąż jeszcze padają jak muchy... a każdy
bohater!

MATKA.

I tyle ich tak marnie ginie!

JAN.

Marnie... tak mniemamy, niestety! a jednak sam Bóg
tylko wiedzieć może, na co się to wszystko kiedyś przyda.

MATKA.

Maszże jakąkolwiek nadzieję?

JAN.

Na teraz... szczerze mówiąc, nie.

MATKA.

A widzisz!

JAN.

Rozpaczać nam wszakże niewolno... wszystko w Bożej
mocy.

MATKA.

Prawda! a jednak... mówisz to tylko, aby mię pocie-
szyć... ale mię nie oszukasz. Jest w sercu matki instynkt
niemylny. Ja się boję, Janie... boję się okropnie! Linciu,
weź odnieś kapelusz i książkę do mego pokoju!

(Lincia odchodzi).

Scena 3.

MATKA, JAN.

MATKA.

Synu mój, chcę z tobą pomówić otwarcie. Powiedz mi, co myślisz o tem, co się nas bliżej tyczy? . . . co myślisz . . . o naszym Julku?

JAN.

Ha! . . .

MATKA.

W ciągłym jest ruchu, coraz go ktoś z domu wyciągnie. . . Czy się już nie dał obalamucić? Czy nie związany obietnicą, przysięgą. . . Boże uchowaj!

JAN.

Przysięgą . . . dotąd wątpię!

MATKA.

Oddycham . . . zdejmujesz mi kamień z serca!

JAN.

Ale . . . co się nie stało jeszcze, stać się może każdej chwili.

MATKA.

Tego właśnie się boję, oto drzę bezustannie! Czyż ty, brat starszy, ustrzedz go nie możesz twoją perswazyą, twoim rozsądkiem?

JAN, z boleśnym uśmiechem.

Rozsądku dziś nikt nie lubi, nie pyta, nie słucha. Robiłem co mogłem i robić będę do końca. Czy na wiele to się przyda? . . . Nie wiem.

MATKA.

Słuchaj . . . w bezsennych nocach różne przychodzą mi myśli. (mówi żwawiej) Dobrych ludzi wszędzie znaleźć można. Niewiele ich wprawdzie, ale jednak są. Wiem o jednym szlachetnym człowieku . . . nawet w Petersburgu. Gdyby do niego się udać . . . gdyby go prosić poufnie. . .

JAN, niespokojnie.

O cóż, o cóż matko droga? . . .

MATKA.

Aby . . . pod jakimkolwiek pozorem . . . Julka . . . arestować kazał!

JAN.

Jakto, matko moja?

MATKA.

Pod zamkiem byłby przynajmniej bezpieczny.

JAN.

Bezpieczny . . . w lwiej paszczy?

MATKA.

Innego środka nie widzę.

JAN, powstając z powagą.

Ale ten środek . . . to zdrada!

MATKA, przytrzymując go.

Co ty mówisz . . . zdrada! O tem przecie, co się dzieje w Królestwie, otwarcie pisze się i mówi. Ja, dajmy na to, boję się tylko, aby on, idąc za popędem młodzieńczego zapału, nie zemknął ztąd, nie rzucił się w ów wir, i dlatego proszę. . . O, gdybyś wiedział, jakie męki cierpię!!

JAN.

Biedna matko! I dlatego chcesz wziąć na siebie rolę Opatrzności! . . . zkrzyżować może jej drogi!

MATKA.

Chcę, bądź co bądź, moje dziecko ratować od zguby!

JAN.

A jeśli ten właśnie mniemany ratunek zgubą będzie?

MATKA.

Ta niemożność rzucenia się w przepaść?

JAN.

Co my wiemy, ślepi ludzie? Bóg dał nam rozum, to prawda, ale dał i wolną wolę — i tej wolnej woli w drugim człowieku gwałcić nikt z nas nie ma prawa.

MATKA.

Ani matka?

JAN.

Ani nawet matka, gdy syn jej dorosłym mężczyzną. Pomyśl tylko, matko droga! Gdyby właśnie ten twój krok samowolny, to wkroczenie w jego prawa, to pozbawienie go swo-

body działania, wtrąciło go w inną przepaść, w taką, o jakiej się nam nie śniło. . . .

MATKA.

Ach! nie mów tego! . . .

JAN.

Bóg jeden wie i widzi, co, jak i dlaczego się staje. . . .
O, matko moja, chociażby nawet plan twój nie rzucał brzydkiego cienia na chęci najlepsze, jabym ci do wykonania go nigdy nie dopomógł.

MATKA.

Zatem wszystko stracone! pozbawiasz mię ostatniej nadziei! . . .

JAN.

Ostatniej? . . . Ciebież to słyszę, droga matko?

MATKA, smutnie.

A więc plan to był gorączkowy, nedorzeczny . . . a jednak. . . (ociera oczy) Ach, wybacz zdręzionemu sercu biednej matki!

JAN, kłęk przed nią i całuje jej ręce.

Nic jeszcze przecie straconego nie ma. Są drogi pozwolone, których próbować trzeba. Muszę się widzieć ze Stanisławem . . . u niego tam ciągle zjazdy. . . .

MATKA.

Ależ ty na nich nie bywasz!

JAN.

Nie wzywają mię. (z goryczą) Ja tam niepotrzebny. . . . Jednakże, jeśli nie można będzie inaczej, to nieproszony pojadę.

MATKA, powstając z miejsca swego.

Jedź, jedź mój synu! proś, błagaj . . . przedstawiaj rzeczy, jak są . . . wykaż niepodobieństwo . . . wszak to kwestya życia lub śmierci. . . . Być albo nie być!

JAN.

Tak, ale oni tę kwestyę uważają po swojemu . . . i biorą naodwrot!

MATKA.

W tem też całe nieszczęście!

JAN.

I myślą, że to oni mają słusność, a nie my!

MATKA.

Trzeba koniecznie starać się otworzyć im oczy!

JAN.

Słowami . . . alboż to łatwo? Wszakże . . . przyrzekłem ci, matko droga, zrobić wszystko, co będzie w mojej mocy . . .

MATKA.

Ach! dzięki ci, dzięki mój synu! Oby sam Bóg włożył ci w usta potrzebne słowa! Oby Duch święty kierował twą mową, byś mógł przekonać omamionych błędnym szaleńcem! — Nie wstrzymuję cię dłużej . . . owszem, chciałabym móż ci dodać skrzydła, byś co rychlej dostał się do celu! . . . Idź więc, gdzie cię woła święty obowiązek — ja także pójdę w pracy szukać uspokojenia.

(kładzie mu błogosławiącą rękę na głowę, i odchodzi).

Scena 4.

JAN sam.

Przekonać omamionych błędnym szaleńcem! . . . Któż kiedy to potrafił? . . . Proste przysłowie mówi: Gdy Pan Bóg chce kogo ukarać, to mu rozum odbierze! Na cóż się wówczas zda przekonywanie? Boże, ty wiesz, ty widzisz, że nie z kamienia mam serce, nie z lodu! Ty wiesz, jaki tu żar płonie! Wiesz, jak kocham ojczyznę biedną! Wiesz, że dałbym za nią stokroć me życie, mą wolność, moje całe szczęście na tym świecie! Nie przez tchórzostwo i egoizm zatem ruchu tego nienawidzę. Nie przez egoizm i brak serca także w początkach tego nieszczęsnego ruchu, codziennie brałem w rękę gazetę ze skrytym pragnieniem wyczytania z niej, że on został stłumiony, że te zebrania po lasach już przykrócone; że ci biedni, co się tam gromadzili, już rozproszeni! Kochałem ich i kocham, nie wiedząc nawet, kto oni; ale więcej kochałem moją Polskę! Żał mi ich było, ale większy żal nieszczęśliwej ojczyzny! Wolałem, tak, wolałem, aby już raczej oni zginęli, kiedy koniecznie ginąć chcieli, niż cały kraj! Ale nie tak się stało . . . powstanie trwa, wzmaga się, rośnie, rozszerza, coraz więcej ofiar ogarnia . . . do czego zaś dojdzie i co się jeszcze stanie . . .

któż to przewidzieć zdoła? Wszakże jedna jest tylko droga dla mającego przekonania i zasady: Czyń coś powinien — a zresztą dziej się wola Boża!

(odchodzi).

Scena 5.

Przez czas jakiś nie ma nikogo, później wchodzi Lincia i Juliusz z chartem faworytem.

LINCIA.

Nie wolno, Zagraj, nie wolno.

JULIUSZ.

Daj mu pokój, nie odpędzaj go. (głaszcząc psa) Biedny mój pies, biedny!

LINCIA.

Wiesz, jak mama nie lubi, aby on wchodził do pokoju!

JULIUSZ.

Niedługo może będę się nim naprzykrzał!

LINCIA.

Niedobry! cóż to ma znaczyć?

JULIUSZ.

Opiekuj się nim, jak mnie tu nie będzie. . . .

(rzuca się na sofkę — pies kładzie się u nóg jego).

LINCIA.

Ja bo tego słuchać nie mogę!

JULIUSZ.

A jednak do tej myśli przywyknąć nam trzeba.

LINCIA.

Do jakiej myśli?

JULIUSZ.

Że nadszedł czas nareszcie, w którym ze wszystkiego, co najdroższe, uczynić trzeba ofiarę.

LINCIA.

Czy ty mówisz na seryo?

JULIUSZ, z przejęciem się.

Mógłbym żartować? . . . Wszędzie, jak Polska długa, szeroka, krew się nasza leje — możemyż pozostać w tyle?

Dość, że już temu lat trzydzieści, myśmy tu cicho siedzieli.
Dziś trzeba zmyć tę plamę!

LINCIA, zdziwiona.

Plamę? . . .

JULIUSZ.

Tak, to plama siedzieć spokojnie, bezpiecznie, gdy inni za nas biją się i giną . . . to plama z założonemi rękoma czekać, aż pieczone gołąbki same nam wlecą do gąbki . . . to plama, nie nie chcieć poświęcić, a potem przyjść po zapłatę z innymi! Gdy kosztem niezliczonych ofiar wszystko się już skończy szczęśliwie, jakimże czołem będziemy mogli dopominać się naszej części szczęścia i swobody, odkupionej krwią i łzami, które nie z naszych ran, nie z naszych oczu płynęły?

LINCIA.

Boże drogi!

JULIUSZ, z zapalem.

Jak kraj nasz długi, szeroki, wszędzie gdzie dotąd narodowa żałoba oznaczała jego granice, dziś one purpurowym szlakiem narysowane być powinny!

LINCIA.

Jakto? także i tu?

JULIUSZ.

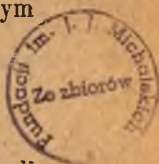
Znasz Pismo święte? znasz powieść o wyjściu z niewoli egipskiej? Wiesz, że gdziekolwiek drzwi domu pomazane były krwią baranka niewinnego, tam anioł śmierci przeleciał mimo, nie dotknął pierworodnych synów!

LINCIA.

Ale gdybyś ty, o mój bracie, ty, czy którykolwiek z was miał być tym barankiem . . . o, nie, nie, stokroć nie! . . . Ach! anioła śmierci się nie boję . . . niech mię na skrzydłach swych unosi precz, precz z tej ziemi, byle was ocalił!

JULIUSZ.

Linciu! zawsze miała serce i rozsądek — i teraz w tej ostatecznej walce o wszystko, co mamy najświętszego na ziemi, w walce o wiarę i ojczyznę . . . nie osłabiać naszego ducha, ale raczej z całych sił twoich pokrzepiać go powinna! . . . Zresztą, waszą rzeczą modlić się, błagać Boga Zastępów, aby skruszył łuk i zdruzgotał orężę, i tarcze ogniem popalił! . . .



LINCIA, przerywając mu skwapliwie.

To czynię, to czynię codzien w głębokości serca — Bóg mi świadkiem!

JULIUSZ.

To dobrze! Ale przytem trzeba jeszcze... i właśnie z tem dziś do ciebie przyszedłem... trzeba nagwałt robić szarpie, przygotowywać bandaże!

LINCIA.

Szarpie, bandaże... o, mój Boże!

JULIUSZ.

Przydadzą się w każdym razie... toć ich dziś tyle potrzeba!

LINCIA.

O, powiedz, że to nie dla was! powiedz, że tu przynajmniej nic się złego nie stanie!

JULIUSZ.

Nie wiem.

LINCIA.

Powiedz, że ty nie pójdziesz bić się!

JULIUSZ.

Linciu!

LINCIA.

Że nie padniesz, nie zginiesz...

JULIUSZ.

A gdybym i padł, czyżby to tak wielkiem było nie-szczęściem? Śmierć na polu chwały, cóż nad to piękniejszego? i cóżby mnie szczęśliwszego spotkać mogło?.. Mówiliście mi nieraz, że jestem słaby, miękkiego charakteru, że odmawiać nie umiem — to prawda! Nie wiem, jakby było, gdybym uczuł popęd do złego, lub trafił na złych towarzyszy... lubię życie szerokie... możebym jak tylu innych, zjadł ojcowiznę, narobił długów, stracił cześć i dobrą sławę u ludzi! Powiedźże sama, czyżby w takim razie nie stokroć lepiej...

LINCIA, przerywając mu.

O, nie kończ, nie kończ, proszę ciebie!

JULIUSZ, ze wzruszającym zapalem.

A z innej strony pomyśl znowu, jeśli jak Dawid bez puklerza i prawie bez oręża, obalim tego już dziś z samego zdziwienia osłupiałego Goliata... rzecz niesłychana!... Jeśli

nadludzkiem wysileniem meztwa i bohaterstwem naszym, które już wzbudza podziwienie i sympatye świata całego, wywalczym naszą ojczyznę . . . jakież szczęście, jakaż chwała, jakie świetne przed nami widoki! Lud wyratowany od zguby moralnej! . . . Linciu! tyś tak zawsze ten biedny nasz lud kochała! . . . I my wolni . . . my tu znowu Polacy, z naszym rządem, naszym prawem, naszą mową! O, siostrzyczko, siostrzyczko! powiedz, czyżbyś gorzkiemi nie płakała łzami, gdybym dziś przez podłe tchórzostwo, lub zgrzybiały rozsądek, do sprawców tego szczęścia należeć nie chciał? . . . Wierz mi, co stawię na kartę, niczem jest w porównaniu z tem, co stracić i co wygrać mogę! . . .

LINCIA.

Gdy cię tak mówiącego słyszę, to mi się serce dziwnie jakoś otwiera . . . dusza moja wznosi się i rośnie. . . Ach! czemuż inni mówią inaczej? . . . i tak mądrze także, tak prawdziwie, że ich słuchając, nie mogę nie przyznawać im słuszności! . . . Komuż więc wierzyć mam?

JULIUSZ.

Wierzaj sercu twemu i modlitwie! (patrzy na zegarek)
Już? czyż być może! Jakże godziny lecą!

LINCIA.

Znowu chcesz uciekać?

JULIUSZ.

Muszę spieszyć . . . czekają mię . . . do zobaczenia!

(odchodzi).

Scena 6.

LINCIA, sama.

Któż czeka? . . . kto są ci towarzysze nieznanzi? . . . (ściska czoło obiema rękami) Gdybym choć myśli rozplątać mogła! . . . Gdyżby tak było, jak mówił! . . . Gdyby tak być mogło! . . . Ale na to trzebaby cudu . . . a czy my na cud zasługujemy? . . . Przez cały marzec modliłam się do świętego Józefa, oddawałam nas jemu w opiekę — co środa odprawiała się msza święta przed jego ołtarzem, z prośbą by on nasz

biedny kącik strzegł od daremnej krwi przelewu. . . . O, ten dobry, kochany święty Józef nas wysłucha! . . . to prośba po jego sercu! . . . Przestańże się trwożyć serce moje . . . wszystko dobrze skończyć się może i dobrze skończyć się powinno!

Scena 7.

LINCIA, MATKA.

MATKA, wychodząc z pokoju swego.

Zdawało mi się, że słyszę głos Julka; czy on tu był?

LINCIA, trzcnię zakłopotana.

Był, matko moja.

MATKA.

Był i zemną się nie widział? Był i odjechał, z matką się nie pożegnawszy! . . .

LINCIA.

O! nie gniewaj się, proszę! (z radością) Ale otóż i on wraca!

Scena 8.

CIŻ SAMI, JULIUSZ.

JULIUSZ, biegnąc ku matce, by ją powitać.

Omałom nie zapomniał. . . .

MATKA, z wyrzutem.

Że jest matka na świecie . . . nie prawdaż?

JULIUSZ, z czułością.

Żem jej dziś jeszcze na własne nie widział oczy. Sercu wszak ona zawsze przytomna!

MATKA.

Oby tak było w istocie! Natenczas i słowa moje cośby ważyły na szali twoich zamysłów. Nic nie odpowiadasz!

JULIUSZ.

Cóżbym miał? zamysłów moich przed ludźmi ani przed Bogiem wstydzić się nie mam powodu.

MATKA.

Ja ci tylko przypomnę tę bajkę, której dzieckiem będąc, uczyłeś się na moich kolanach: Przestańcie chłopcy, bo się źle bawicie — dla was to jest igraszka, nam idzie o życie!

JULIUSZ, z boleścią.

Igraszka?

LINCIA, na stronie.

W głowie mi się mać.

MATKA, zwolna i z przyciskiem.

Nam idzie o życie — ale nie o nasze, o wasze życie, o życie naszej ojczyzny!

JULIUSZ, z goryczą.

A nam, nie? O, Boże! My się bawimy! . . .

MATKA.

Bawicie się, niestety! . . . w czamarki, w długie buty, w rządy narodowe, w wojewodów, hetmanów. . . .

JULIUSZ.

Matko, na miłość boską!

MATKA.

O, ostrożnie, ostrożnie! straszna to zabawka!

(odchodzi).

JULIUSZ.

O, jakże mię wszyscy dręczyciel!

(wybiega — Lincia za nim).

Scena 9.

Zmienia się dekoracya. — Salon wiejski, inaczej umeblowany niż poprzedni. — Nina w czarnym kontusiku wchodzi do salonu. — Jozafat w czamarce i długich butach stoi przed nią.

NINA, ze zdziwieniem pełnem zadowolenia.

Więc to, to pana prawdziwe imię rodowe? . . . Te herby? . . . ten tytuł? . . .

JOZAFAT.

Wszystko to moje własne! w tych papierach są na to dowody . . . pani je powierzam, jako najcenniejszą moją własność. W tych rękach pani, bezpiecznemi będą. Mnie zaczy-

nają już mieć na oku, muszę być ostrożnym — i dlatego to właśnie tym razem w zastępstwie mojem z ważnem poleceniem pana Zdzisława wysłałem do Wilna. Powinienby już być z powrotem . . . dziś dla nas nie ma dnia i nocy . . . nie mamy chwili czasu do stracenia! Lecz skoro przemią szczęśliwe te nasze znoje i trudy, i będę mógł nareszcie śmiało i z podniesionem czołem tu na tem samem miejscu stanąć przed tobą pani, pod mojem własnem nazwiskiem . . . wtenczas, o, wtenczas. . . .

NINA, przerywając mu spiesznie.

Ale na jakże wielkie niebezpieczeństwo pan się dziś narażasz! . . .

JOZAFAT.

Niebezpieczeństwo, to mój żywioł, pani! Lubię niebezpieczeństwo, nie mógłbym żyć bezeń!

NINA, spuszcżając oczy.

Jakiż z pana egoista! . . .

JOZAFAT.

O, dzięki, dzięki pani za ten ciężki zarzut!

NINA, z wyrzutem.

Czyż pan nie masz siostry, matki? . . .

JOZAFAT.

Moja matka i moje siostry spartanki — ojczyzna dla nich wszystkim!

NINA.

I takich uczuć wymagałbyś pan od każdej kobiety?

JOZAFAT.

Trudnej pani w tej chwili żądasz odpowiedzi. Powinienbym powiedzieć: nie! . . . a jednak . . .

(siada obok niej).

NINA.

Cóż? jednak . . .

JOZAFAT.

Serce waruje sobie jeden, jedniuteński wyjątek.

NINA, z kokieterią.

Albożem nie mówiła, żeś pan wielkim egoistą?

JOZAFAT.

Pozwólże mi pani nim być w tym razie! . . .

NINA.

A tylko coś pan przedemną tak straszliwie napadał na tutejszych samolubów!

JOZAFAT, z ogniem.

Nie mów mi pani o nich! To bryły lodu, to głązy bez serca. Nic nie poświęcą, nic nie narażą dla dobra ogółu! Rozsądek u nich, tylko rozsądek, w czynie i na ustach!

NINA.

Znasz pan którego z nich osobiście?

JOZAFAT.

Nie, pani, nie znam, i po tem, com o nich od ludzi poświęcenia słyszał, znać nie chcę. Zimny rozsądek na nic się nam nie zdał. Nam potrzeba zapału! Zapał, to nasza broń niezwyciężona, to nasz cud!

NINA, w zamyśleniu.

Alboż go nam kiedy brakło?

JOZAFAT.

Nigdy! Nigdy prawdziwego zapału prawdziwemu nie zabrakło Polakowi. Kto go nie miał, niegodzien był być naszym bratem — to był zdrajca . . . i Targowiczanie!

NINA.

Możebyśmy i tu także znaleźć mogli takich . . . Targowiczaków!

JOZAFAT.

Pani ich nienawidzisz, nieprawda?

NINA.

Nienawiść przeciwną jest przykazaniu . . .

JOZAFAT.

Nienawidziłbym przykazanie, któreby pani kazało kochać. . .

NINA, figlarnie.

Bliźniego jak siebie samego? . . . (grożąc mu palcem) Ej, ej, panie Jozafacie!

JOZAFAT.

O, pani jesteś prześliczna! Gdyby wszystkie kobiety były do pani podobne . . . świat musiałby odrodzić się lub zgorzeć w jasnych płomieniach tych oczu!

NINA, trochę zmieszana.

A więc bardzo szczęśliwie dla świata, że . . .

JOZAFAT.

Że? . . .

NINA.

O, już sama nie wiem, co mówię!

JOZAFAT, biorąc ją za rękę.

Czarująca Nino!

NINA, wrywając rękę.

Idź pan, idź! słyszę kroki cioci . . . muszę zebrać te papiery. . . Gdyby też komu w ręce wpadły! . . .

JOZAFAT.

Pani mię wypędzasz!

NINA, z przymleniem.

Wypędzam!

JOZAFAT, powstając.

Okrutna!

(odchodzi, ale od drzwi rzuca na nią jeszcze sentymentalne spojrzenie).

Scena 10.

NINA sama.

Tak, znalazłam nareszcie! znalazłam serce gorące, nieznające wyrachowania! Miał słusność. . . Tamci, to zimni egoiści, to głazy! zarozumiali, dumni, pyszni, chciwi znaczenia, majątku — pomiatający wszystkim, co nie oni — zacofani, wsteczni, arystokraci! Trzymają się pomiędzy sobą tak ściśle, jak kahał żydowski! A ten. . . co za różnica! Ten. . . idzie śmiało naprzód, zawsze naprzód! . . . To lubię! . . . Przejrzyjmy jeszcze te papiery. . . Jest i tu przecie korona. . . A jakie uczucie. . . jakie poświęcenie!

(wchodzi Agata).

Scena 11.

NINA, AGATA.

NINA.

Ciociu droga! patrz, bierz, schowaj! . . . schowaj u siebie, daleko, głęboko! To papiery pana Jozafata! On mi je

powierzył! . . . O, cioteczko, cioteczko! On mię kocha, kocha z pewnością!

AGATA.

A widzisz! nie mówiłam? Od początku pewną tego byłam! Czy ci to nareszcie powiedział?

NINA.

Nie teraz czas o tem mówić wyraźnie . . . ale czyż potrzeba zawsze wszystko wyrażać słowami?

AGATA.

Ten człowiek widział świat i ludzi . . . to też zaraz poznał się na tobie!

NINA.

Teraz już o to chodzić nam powinno, aby się wznieść do jego wysokości i stać się godnemi tego bohaterskiego serca. Cioteczko, pomagajmy mu wszelkiemi siłami.

AGATA.

Naturalnie . . . pomagajmy!

NINA.

A naprzód, musimy zwerbować mu jak najwięcej zwolenników, dla honoru stron naszych!

AGATA.

Tak właśnie . . . dla honoru stron naszych!

NINA.

Niech wie świat cały, że tu zawsze patryoci byli i będą.

AGATA.

Byli i będą . . . to rzecz niezawodna!

NINA.

A nasamprzód . . . wiesz ciociu, co nam zrobić trzeba koniecznie?

AGATA.

Cóż takiego?

NINA.

Pozyskać naszemu ruchowi Juliusza!

AGATA.

Masz słusznosc! Pozyskać Juliusza bądź co bądź! I nie tylko dla honoru stron naszych, ale i dla honoru jego własnego imienia! Taki poczciwy chłopak! Szkodaby go doprawdy, gdyby się zmarnował i dziś nieczynnym pozostał!

NINA.

Niech nikt odtąd nie śmie powiedzieć, zadzierając nosa, że to sprawa samych tylko ludzi, niemających nic do stracenia! Trzeba nam imion znanych, głośnych. . .

AGATA.

Tak, tak, moja luba! Ale co też ty mówisz o ludziach, niemających nic do stracenia? Toć to i my przecie nietacy! A potem, któż nie ma czegoś do stracenia? jeśli nie co innego, to chociażby tylko życie! A wszakże to ono narażone nie żartem! . . . To przecie nie bagatelka!

NINA.

O, życie, życie! Cóż ono warte, gdy nam nie idzie po myśli?

AGATA, nadstawiając ucha.

Czy słyszysz? ktoś zajechał przed ganek.

NINA.

Papiery, papiery! Cioteczko, czempędzej unosi je do siebie!

(Agata odchodzi do siebie).

Scena 12.

NINA sama, idzie do okna.

To nasi wracają! Co za ruch, co za życie! Wuj Zdzisław! Jakżem ciekawa wiadomości, jakie nam przywozi!

Scena 13.

NINA, JOZAFAT, ZDZISŁAW, IGNACY, JAKÓB.

NINA.

Kochany wujcio! nareszcie!

ZDZISŁAW, sięgając ręką do kieszeni na piersiach.

Przedewszystkiem obowiązek!

(Oddaje Jozafatowi papier z głębokiem uszanowaniem).

(Jozafat rozkłada go i czyta na stronie).

NINA, z ciekawością ciszej.

Wujciu, cóż słyhać?

ZDZISŁAW, półgłosem.

Zaraz się dowiemy wszyscy.

JAKÓB, tymże tonem.

Ale przecież jakie plany, jakie projekta?

IGNACY, tymże półgłosem.

Czy zawsze na tem stoi, że mamy spalić tę stację na kolei pod samym dworem?

JAKÓB, tak jak wprzód.

Ja zawsze mówiłem, że rozbrojenie kilkudziesięciu żołnierzy, stojących załogą w dalszem ztąd nierównie miasteczku, odpowiedniejszym byłoby celowi.

ZDZISŁAW, tajemniczo.

Nie pytajcie mnie . . . nic mówić nie mogę!

JOZAFAT, głośno i uroczyście.

Panowie! (wszyscy kupią się około niego). Rząd narodo-
wy każe tu nam nagwałt organizować! Wszelkimi siłami
zbierać ludzi, zebranych doprowadzać do przysięgi, być wpo-
gotowiu i . . . czekać pierwszego hasła!

IGNACY.

Ależ bez broni, co robić można?

JOZAFAT.

Na wszystko rada się znajdzie.

IGNACY.

Do czegoż się gotować mamy?

JOZAFAT.

Do zrobienia na dany znak demonstracji.

JAKÓB.

Demonstracji . . . rozumiem!

IGNACY.

Ale jakiej?

JOZAFAT.

To się w swoim czasie pokaże! Siły nieprzyjacielskie
nazbyt się w Królestwie i na Litwie skupiły i grożą tam zgnie-
ceniem wszystkiego . . . chodzi więc o to, aby je ztamtąd od-
ciągnąć zrobieniem tu niespodzianej dywersyi.

JAKÓB, na stronie.

Któraby się na naszych karkach skrupiła! dziękuję za łaskę!

JOZAFAT.

Wielki to zaszczyt dla tej prowincyi... cóż panowie na to?

IGNACY.

Gotowiśmy jak zawsze wszyscy na wszystko! ale...

JOZAFAT.

Żadnego ale, gdy rząd narodowy rozkazuje!

IGNACY.

Słuchamy... jednakże...

JOZAFAT.

Chodzi też tylko o to, aby nastraszyć wroga, a potem wnet się rozsypać i cichutko wszystkim wrócić do domu.

JAKÓB.

Jak gdyby nic nie było... rozumiem!

IGNACY.

Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać... tu u nas!

ZDZISŁAW.

Co łatwe, nie sztuka! To każdy potrafi!

JOZAFAT.

Dobrze powiedziano! Tak to lubię! Naprzód, tylko śmiało, zawsze naprzód, na nic się nie oglądając!

NINA, na stronie.

To jego dewiza i moja!

ZDZISŁAW.

Bo to widzicie, panowie, boją się nas! trzeba z tego korzystać! Czyż nie oczywista, że zgłupieli? Nic nie widzą, nie słyszą, pozwalają nam mówić i robić, co się nam podoba; czy tak dawniej bywało?

JOZAFAT.

Mikołajowskie czasy nazawsze już przemieły... era wolności jest w powietrzu! Sami ciemniejscy nasi mają dla niej jakieś mimowolne uszanowanie!...

IGNACY.

Jednakże, ponieważ mowa o wolności, to nie zapominajmy, że nasi młodszy bracia...

JOZAFAT, przerywając mu.

Car dał im wolność, my obdarzymy ich własnością! Uroczystym manifestem darujemy im grunta, zrobimy ich odrazu

równymi obywatelami kraju, a poczucie godności to w nich sprawi, że pójdą z nami.

IGNACY.

Dałby Bóg . . . wszakże . . .

JOZAFAT, z ironią.

Rozumiem! Żal panu kawałka rodzinnego zagonu, kawałka liczej ziemi dla ojczyzny!

IGNACY.

Tegom nie powiedział!

JOZAFAT.

Nie zrozumiecież nigdy, że nam ofiar potrzeba, ofiar!

JAKÓB.

Ja, panie dobrodzieju, poprostu sobie brat szlachcic, w pocie czoła dzierzawię cudze majątki dla utrzymania żony i dzieci, a zatem przeciw pięknej, szlachetnej myśli uwłaszczenia włościan, osobiście nic mieć nie mogę — ale panowie magnaci zaraz na komunizm, socjalizm czerwony krzyczyć gotowi. . . .

JOZAFAT.

Ha! niech krzyczą . . . tu ich właśnie czekamy! Tu zde-maskować się muszą! a wtenczas . . . precz z nimi! precz z każdym, co rządu narodowego nie słucha! Ktoby śmiał się sprzeciwiać jego rozporządzeniom, temu kulą w łeb — i basta!

NINA, na stronie.

Co za energia straszliwa! aż mrowie przebiega po skórze!

JOZAFAT.

Terroryzować, panowie . . . terroryzować!

Scena 14.

CIŻ SAMI, ANNA wbiega na scenę i rzuca się Zdzisławowi na szyję.

ANNA.

Tyś tu, mężu mój kochany, a nikt mi o tem nie oznajmił, nikt nie pomyślał o mnie!

ZDZISŁAW, usuwając ją na stronę.

Będzie na to dość czasu, zostaw nas jeszcze chwilkę — my tu w ważnych sprawach obradujemy!

ANNA, naiwnie.

Zawsze te ważne sprawy! Jacy panowie niegrzeczni, że mi zawsze męża mojego zabieracie!

NINA do niej zeicha.

Dajże pokój! nudnaś z twemi czułościami!

ANNA.

Dobrze ci tak mówić!

(Jozafat daje znaki niecierpliwości).

NINA, odchodząc na stronę.

Głupia! wszystkich nas kompromituje!

ZDZISŁAW.

Panowie! przepraszam za tę przerwę.

JAKÓB.

Ej, wszystko to dla nas nienowina. Z kobietami zawsze tak!...

NINA.

Bardzo proszę jedną miarą nie mierzyć wszystkich.

ANNA, prawie z płaczem.

I o Jądrusia nawet się pytasz, a biedactwo chorowało... ząbek mu się wyrznął!

ZDZISŁAW.

Dobrze, dobrze, zaraz przyjdę.

ANNA.

O, ja znam to zaraz! Tylkoż nie marudź, proszę!

(odchodzi).

Scena 15.

CIŻ SAMI, oprócz ANNY.

NINA, na stronie.

Chwała Bogu, żeśmy się nareszcie tej gąski pozbyli!

IGNACY.

Słuchamy dalszych rozkazów!

JOZAFAT.

Przystąpić mamy niezwłocznie do obsadzenia wszystkich wakujących jeszcze dotąd urzędów. Nigdy się nie spodziewałem,

że w tym zaklętym kącie rzeczy tak pójdą z kamienia! ani pieniędzy, ani ludzi, ani szczeręj woli! . . .

IGNACY.

Przepraszam pana! Wszystko się daje, co tylko dać można! Ale w istocie, głównem bogactwem tego zaklętego kąta . . . to jego szczerzy i niezachwiany patryotyzm!

JOZAFAT, dumnie.

Ten się pokaże! Wzywam wszystkich na walne zebranie do pana Stanisława. Trzeba się spodziewać, że się i kandydaci nareszcie znajdą!

ZDZISŁAW.

Jestem cały na usługi!

JOZAFAT.

Wiem o tem i jesteś pan już mianowany.

NINA.

Czy też wolno nam kobietom podać naszego kandydata?

JOZAFAT, z przymileniem.

Z pięknych rączek, tem cenniejszym będzie!

IGNACY.

Kogóżbyś miała na odwodzie, piękna kuzynko?

NINA.

Nie zgadujecie?

IGNACY.

Nie, doprawdy!

NINA.

Pana Juliusza!

ZDZISŁAW.

O, ten już oddawna jest na mojej liście!

Kórtyna zapada.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

A K T II.

Pokój Stanisława, stół do pisania, na nim porozrzucone papiery, przed stołem fotel, szafy około ścian z książkami, w głębi kominek, na nim fajki i cygara, reszta umeblowania odpowiednia.

Scena 1.

STANISŁAW, JAN.

Obaj przechadzają się po pokoju, każdy w swoim kierunku, poruszeni żwawą dyskusją.

JAN.

Albo się ma zasady, albo się ich nie ma! Co złem było wczoraj, to dziś dobrem być nie może. Co było wczoraj prawdą, to i dziś prawdą być nie przestało!

STANISŁAW.

Zgoda! Prawda jedną jest i tą samą, ale okoliczności dziś mogą wymagać innego jej zastosowania niż wczoraj!

JAN.

Zkądże mógł zawiąć ten wiatr, co czarną i krwawą rzeczywistość nagle w tęczy obległ pryzmat? Jednegośmy przecie byli zdania — w pracy powolnej, wytrwałej, jedyną widzieliśmy rękojmię wybawienia w przyszłości.

STANISŁAW.

Pracę wypadki już dziś uczyniły niemożliwą. Przyszłość odległa, nieprzeparła siłą okoliczności, stała się nagle chwilą obecną.

JAN.

Tak — ci co pracy się boją, znaleźli, że wygodniej dla nich wszystko odrazu postawić na kartę i... zwyciężyć lub zginąć! Ha... zwyciężyć!... Gdybyż to zwyciężyć można!... Ale czem? ale jak?... a więc z biedy zginąć!.. Bo też i łatwiej umrzeć z jaką taką chwałą, niż żyć mozolnie a pożytecznie! To zaś, że ginąc sami, zgubimy zarazem i sprawę naszą... ba!... o to mniejsza! Bo i na cóż nam ojczyzna, jak nas już nie będzie? I to się u nas nazywa być patriotą!!

STANISŁAW.

Od gorącej młodzieży uczuć dojrzałego człowieka wymagać niepodobna, Jakże chcesz, aby ta młodzież, gdy się biją gdzieindziej, dziś mogła u nas bakałarzować spokojnie, dlatego tylko, aby za dwadzieścia lat dopiero ktoś z tego bakałarstwa zbierał może owoce? Byłoby to zapewne z jej strony poświęceniem ogromnem, ale poświęceniem nienormalnem, jakiego nawet od niej nie można wymagać.

JAN.

A ludzie dojrzały? . . .

STANISŁAW.

Ludzie dojrzały robili co mogli, by powstrzymać wybuch?

JAN.

A dziś?

STANISŁAW.

Dziś, widząc że już go dłużej powstrzymać nie mogą, łączą się z młodzieżą, by ją ochronić od zejścia na zgubne bezdroża.

JAN.

I pójdą sami nie tam, gdzie zechcą, lecz gdzie ich poniesie szalony prąd, o którym myślą, że nim pokierować zdołają. O, Stanisławie! a jam tu przybył, by ci powierzyć losy brata mego! Przyszedłem cię prosić, byś nie dopuścił mu rzucić się w tę przepaść! Znasz go — sam przez się oprzec się nie zdoła, ulegnie namowom! . . . Nie naszym, o nie! obcym, obcym namowom. Naszego wpływu on się boi . . . właśnie dlatego, że sobie nie dowierza — aleś ty dalszy, ciebie szacuje, tobie z pewnością zaufa. Ja go znam — jeśli go wciągną, jeśli się da oplątać, nic go już wyratować nie zdoła! . . . Nic mi nie odpowiadasz? Na twoją pomoc rachowałem jednak!

STANISŁAW.

Przeciw własnemu przekonaniu nikomu radzić nie mogę; nie mogę nakłaniać do tego, czego bym sam uczynić nie chciał. Wreszcie . . . przychodzisz zapóźno!

JAN.

Człowiecze! co mówisz. . .

STANISŁAW.

Jedno tylko mogę ci zaręczyć, o czem zresztą i bez tego wątpić byś nie powinien, a to jest, iż nigdy brat twój żadnego

nie otrzyma polecenia, któreby prawom honoru i sumienia być mogło przeciwnem.

JAN.

A więc tak daleko już rzeczy zaszły? . . . Niestety! niestety! . . . I kogóż macie do prowadzenia tego pięknego dzieła? Gdzież naczelnicę cywilni, wojskowi?

STANISŁAW.

Na wojskowego, tu u nas, idzie Zdzisław, który kiedyś służył . . .

JAN.

Ten? . . . ten?!!

STANISŁAW.

Cóż chcesz? Ci, coby się do tego kwalifikować mogli, nie chcą . . . ci, co go chcą, głowy nie mają potemu. Ten przynajmniej sam się doprasza tego urzędu.

JAN.

A więc z półgłówkami na czele ruszacie naprzód w Imię Boże! A wieszże, jak się to nazywa? . . . kusić Pana Boga! Nadludzkie dzieło chcecie przyprowadzić do skutku . . . a nie macie nawet człowieka! Ale tu żaden człowiek, chociażby nawet głową sięgał w obłoki, nieby doradził. Zważcież położenie tego kącika, wystawionego na wszystkie najazdy! . . . W ostatecznym tylko razie i gdyby miał o co się oprzeć, mógłby się podnieść skutecznie. A wy tu chcecie zrobić o własnych siłach powstanie! Ależ to wierutne szaleństwo! Zgniotą nas wnet na miazgę i cała złość wroga tu się wywrze z nieporównaną wściekłością!

STANISŁAW.

To wszystko przedstawiałem . . . daremnie. Zresztą o tem, aby się powstanie tu utrzymać mogło, nikt ani tam wyżej nawet nie myśli. Mamy tylko dać znak życia. . . .

JAN.

I kraj moskalom rzucić na pastwę! . . . A wiecież, jakiego rodzaju zemsta ich być i wszystko co za sobą pociągnąć może?

STANISŁAW.

Gdy się kraj cały rusza, nie możemy pozostać w tyle. Musimy coś także poświęcić!

JAN.

Coś poświęcić? tylko coś? . . . O, jabym oddał wszystko . . . ale na ratunek, nie na zgubę! Wielki Boże! za cóż nas taką karzesz ślepotą? (z wzrastającym zapalem) patrz, patrz, co się dzieje tam, gdzie się otwarte działanie ruchu skoncentrowało. Całe pokolenie pada jak trawa pod kosą na łące, krew polska płynie potokiem, bohaterskie męztwo marnuje się w desperackich wysileniach, miasta i wsie obrócone w perzynę . . . kraj zniszczony pożogą . . . nieszczęsne powstanie z honorem wprawdzie, ale w zbyt nierównej walce prędzej lub później przemocy uleść będzie musiało! A wy teraz chcecie tu rozpoczynać ruchawkę! tu, gdzie dopiero wściekłość wroga graniczy nie znała! Wszystko, co się znajdzie na jego drodze, ulegnie losowi Siemiatycz, Ojcowa, Wąchocka, Miechowa! I to nic nie waży na waszej szali? Ale powiedzcie mi, powiedz, skoro z miast, wsi i miasteczek na całej ziemi naszej nie pozostanie kamień na kamieniu, skoro wszyscy zdolni do broni polegą, bo to bój na śmierć! skoro starce, dzieci i kobiety wpien wycięte zostaną, albo co gorsza . . . ah! tego nawet wymówić nie jestem w stanie! . . . skoro na ziemi polskiej żadnego nie pozostanie Polaka, z kąd natenczas, pytam, z kąd się weźmie ta Polska wolna, cała, silna, niepodległa, o którą nam wszystkim tak chodzi? . . .

STANISŁAW.

Pozwól mi widzieć przesadę w tych strasznych obrazach. Przyszłość w mniej czarnych kolorach mi się przedstawia . . . ja mam nadzieję!

JAN.

I na czemże ją dziś opierać możesz?

STANISŁAW.

Żleśmy dotąd sobie zawsze radzili, to prawda — ale teraz, jak się zdaje, inni nareszcie już radzić o nas zaczynają. Europa przejrzała . . . i przyjdzie nam w pomoc niezawodnie . . . Francja. . .

JAN.

Boże! kiedyż przestaniemy wierzyć w jej pomoc! O sympatyach nie wątpię . . . ale cóż nam one kiedy dały? Między Francją a nami stoją Prusy. . .

STANISŁAW, z lekceważeniem.

Ba!

JAN.

Niech choć jeden pułk regularnego przyjacielskiego wojska wstąpi w nasze granice, polecę pierwszy pod jego znaki. Wtenczas, ale dopiero wtenczas uwierzę, że mogą dla nas wrócić cudowne czasy Czarneckiego, bo nadludzkie wysilenie i bezprzykładne bohaterstwo będzie miało punkt oparcia i powód istnienia. Ale dziś, dziś . . . mój Boże!

STANISŁAW.

Dziś właśnie okoliczności są tego rodzaju, że państwa zachodnie koniecznie muszą coś dla nas zrobić, inaczej same te mocarstwa spotkać może wielkie poniżenie! Ale przypuścimy, że tego nie poznają; przypuścimy, że nas raz jeszcze pomimo widocznie danej zachęty nikczemnie opuszczą, zostanie nam zawsze jeszcze Bóg . . . i lud!

JAN.

Lud? Na seryoż to mówisz? na seryo na ludźe nasz rachować możesz, pomimo tych wszystkich ostrzeżeń, jakie nam od dwóch lat już postawa jego dawać nie przestaje? Toż nie znasz chyba jego usposobienia od czasu ogłoszenia wolności? Zapominasz, że wolność tę otrzymał on nie od nas, cośmy mu ją od tak dawna dać chcieli a nie mogli, tylko od cara, jak gdyby to była myśl jego, a nie nasza!

STANISŁAW.

Damy mu więcej jeszcze!

JAN.

Nic nie pomoże — nie czas na to teraz — kto inny i z tego znowu przeciwko nam skorzysta. Obietnicą myślicie chłopów pozyskać? . . . Znajdą się, co ich przekupią! . . . i naszą własnością obdarzy ich nie kto inny znowu, tylko Moskale! Oni to wiedzą, bo nie brak takich, co im to szeptają do ucha — i nie w prawdziwym wrogu czyhającym na ich dobra najświętsze, tylko w nas, w nas widzą naturalnego swego nieprzyjaciela!

STANISŁAW.

Tak źle nie jest . . . i w razie potrzeby lud pójdzie z nami!

JAN.

Za kilka lat . . . możeby i poszedł, dziś o tem ani myśleć!

STANISŁAW.

Ja zań ręczę!

JAN.

O, nieuleczony optymisto!

STANISŁAW.

Niech i tak będzie . . . a z tem wszystkim . . . jakoś to się zrobi!

JAN, z gorzką ironią.

Tak! Francya pomoże — lud pójdzie z nami — Rosya słaba, zgłupiała, dotknięta jakimś nagłym zniedołężnieniem, gotowa za pierwszym naszym wyruszeniem w pole bez broni, tylko z procą i kijem w ręku, upokorzyć się i przeprosić nas, bo nie ma wojska, nie ma pieniędzy, nic nie ma! Czy nie tak? Czy jedni drugim codzień tego nie szepcemy do ucha? ba, nawet czy nie mówimy o tem głośno na rozstajnych drogach? . . .

STANISŁAW.

Być może, że mówimy o tem trochę zanadto — ale . . .

JAN, z goryczą.

Z tem wszystkim, nic to . . . jakoś to się zrobi!

(Stanisław przechadza się gwałtownie, z trudnością tłumiąc w sobie niecierpliwość).

JAN.

Jeszcze tylko chwilkę mię posłuchaj! W istocie Rosya to kolosalna piramida, której wierzch pusty, środek nikczemny, spód dziki — to prawda! Ale warstwy te pomiędzy sobą łączy cement ugnieciony z giętkiej przebiegłości i chytrej zręczności, która umie to, czego my nie umiemy, umie ukrywać myśl swą i uczucia, umie przyczaiać się . . . i czekać cierpliwie sposobnej chwili. Był czas, w którym ciężkie bryły tej piramidy zdawały się rozchwiewać . . . czy wiesz, kto je spoił nanowo? my sami! . . . W skutek naszego zbrojnego powstania, przeciw nam silniejszym niż kiedy znowu spoiły się węzłem. (Stanisław chce mówić). Pozwól, proszę, niech skończę. . . Gdym tu przybywał, przed stacją kolei żelaznej pełno było naszych braci, pełno długich butów, czamarek, pasów z klamrami, gęstych min, a nadewszystko donośnych głosów. Po platformie tymczasem, wzdłuż tam i nazad, milczkiem przechadzał się wojskowy, otulony długim płaszczem; nad kołnierzem z pod czapki

zaledwie można było dostrzedz uszy i oczy jego zmrużone, lecz niemniej przenikliwe z ukosa rzucające spojrzenia. Wiesz, kto był ten napozór tak obojętny wojskowy? . . . Fligeladju-tant cesarski! I myślisz, że on nic nie widział, nie słyszał? myślisz, że co do jednego nie policzył wszystkich tych naszych krzykaczy?

STANISŁAW, który pod koniec słuchał z coraz większą uwagą.

A . . . toby jednak było bardzo niepotrzebne . . . ale . . .

Scena 2.

CIŻ SAMI, RYSZARD wchodzi z ogromną paką, którą składa w kącie.

RYSZARD.

Ha, nareszcie staję u celu! Cóżem się namęczył!

STANISŁAW, witając go uprzejmie.

Co? już z powrotem?

RYSZARD.

Prędko się sprawiłem, nieprawda? I przywożę wszystko, co potrzeba! Ależem się napocił! . . . formalną komedię zagrać musiałem w wagonie . . . wzięto mię za kupieckiego komisanta. A, szanownego pana Jana!

(wita się z nim).

JAN.

Cóżes to pan wiozł tak starannie?

RYSZARD.

Całą sztukę amarantowego sukna, którego tu nigdzie znaleźć nie było można! (ciszej) na konfederatki! (głośno) Trzeba się było wywijać! he? co?

JAN, zwolna.

Na konfederatki. . .

STANISŁAW, trochę zakłopotany.

Może to i niepotrzebny wydatek, ale myślałem, że jakaś forma jednak jest konieczną. Mundur ogromne robi wrażenie! I taka czapeczka, choć nic nieznacząca napozór, doda jednak animuszu tym, co ją będą nosili, a i na ludzie zaraz inny, elektryzujący wywrze wpływ.

RYSZARD.

Niezawodnie! Człowiek jest istotą wrażliwą... nerwy ogromną w nim grają rolę!... Cóżby znaczyła naprzykład komedia bez kostiumów?... Dlatego też, choć zresztą zawsze i w każdym wypadku jestem cały na usługi szanownego pana Stanisława, w tym razie jednak ze szczególną gotowością podjąłem się tego, proszę mi wierzyć, nie tak łatwego do uskutecznienia jakby się zdawać mogło polecenia. Ale... zapominam zwiastować panom, że dziś tu będzie zbiór ogromny! ze wszystkich stron wślad za mną dążyły powózki.

STANISŁAW.

Na przyjęcie miłych gości jestem przygotowany.

Scena 3.

CIŻ SAMI, IGNACY, JAKÓB, JOZAFAT, ZDZIŚLAW.

Wzajemne powitania, uściski.

IGNACY.

Kochanego pana Stanisława!

ZDZIŚLAW.

Stawimy się wszyscy,

STANISŁAW.

Witajcie panowie!

JAKÓB.

Ależ droga do stacyi!!

STANISŁAW.

Jeszcze niepoprawiona po wiosennej rozwodzi — nie było czasu! Ale siadajcież, proszę. Panie Jozafacie, pozwolisz sobie przedstawić mego krewnego i przyjaciela — panowie podobno jeszcze się nie znacie? Pan Jan — pan Jozafat.

(Jan i Jozafat zimno sobie się kłaniają i odchodzą każdy w inną stronę).

STANISŁAW.

Tylko bez ceremonii! proszę na cygara!

Scena 4.

CIŻ SAMI, JULIUSZ.

JULIUSZ.

Ze wstydem widzę, że przybywam ostatni! (podchodzi do Stanisława) Jak się masz Stanisławie! (wita się z innymi i spostrzega Jana) A! i mój brat! (podchodzi do Jana, podczas gdy inni zapalają cygara lub rozmawiają pomiędzy sobą, i mówi doń na stronie) Jak to Janie, ty tu?

JAN.

Tu.

JULIUSZ.

Tylkoż na miłość boską, proszę cię, nie zrób mi wstydu! Już i tak Targowiczankami nas nazywają!

JAN.

Dowód wielkiej trafności sądu i bystrości umysłu!

JULIUSZ.

Gotowi wziąć cię za zdrajcę i kulą w łeb poczęstować... przynajmniej w słowach.

JAN.

Bądź o to spokojny.

Scena 5.

CIŻ SAMI, PIOTR wpada zdyszany.

PIOTR.

Panowie! wielka nowina! okrętów pełne morze!

KILKA GŁOSÓW.

Gdzie? co?

PIOTR.

Kilka ich już nawet spostrzeżono na wybrzeżach Połagi, to fakt!

KILKA GŁOSÓW ZNOWU.

Zkąd? Jak? Jakie okręta?

PIOTR.

Ano, angielskie, szwedzkie, z amunicją, z bronią, z ludźmi,
ze wszystkim co potrzeba!

JOZAFAT.

Górá nasza sprawa! niech żyje pan Piotr!

WSZYSCY, oprócz Jana.

Wiwat! wiwat! niech żyje!

JAN, na stronie.

I takimi bajkami systematycznie sami siebie oszukują!

STANISŁAW.

Trzeba natychmiast wysłać kogoś dla powzięcia dokład-
niejszych wiadomości.

RYSZARD.

Ofiaruję najchętniej moje usługi.

STANISŁAW.

Nie wypocząwszy nawet z podróży?

JOZAFAT.

Pan Ryszard niezmordowany, będziemy o tem pamiętali.

RYSZARD.

Służba publiczna, panowie!

Scena 6.

CIŻ SAMI, wpada PAWEŁ.

PAWEŁ.

Wiktorya, wiktorya, panowie! Partye już nie istnieją,
wszystko się połączyło w jednomyślną zgodzie, w Paryżu,
w Polsce, na Litwie! Wszyscy idą w jedno, wszyscy działają
razem, połączonemi siłami! I nam tu także każą działać, dzia-
łać, działać! W razie potrzeby nie oszczędzać nic i nikogo,
ani starców, ani kobiet, ani dzieci . . . wszędzie bowiem, gdzie
tylko krwi polskiej padnie kropla, tam Polska powstanie jak
Fenix z popiołów! Tak nam solennie obiecano w Paryżu!

(oddaje Stanisławowi papier).

KILKA GŁOSÓW.

Gotowiśmy na wszystko!

JULIUSZ, z uniesieniem.

O, szczęśliwa godzino!

STANISŁAW.

Panowie! Bogu niech będą dzięki przedewszystkiem!

JULIUSZ.

Tak, tak! nikt jak Bóg!

wszyscy, w entuzjazmie padają na kolana
i jednomyślnie śpiewają:

Boże, coś Polskę przez tak długie wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą Twej opieki
Od nieszczęść, które przywalić ją miały,
Przed twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!

(Podczas tego śpiewu Jozafat zrazu ociąga się, ale potem przykłęka też — Jan stoi na stronie ze spuszczoną głową i zakrzyżowanymi na piersiach rękoma. Bolesne wzruszenie maluje się na jego twarzy. Po prześpiewaniu strofy powstają wszyscy, ścisnąc się wzajemnie — chwila ogólnego gwaru i zamieszania).

RYSZARD.

Niech sobie mówią co chcą, nasi ojcowie wiedzieli, dlaczego śpiewając szli do boju! Taki chór dziwnie podnosi ducha!

JAKÓB.

Serce jakoś roztaje w człowieku!

STANISŁAW, wesoło.

A teraz panowie, proszę was wszystkich do jadalnej sali. Polak kiedy głodny, to o niczem radzić nie umie.

(Wskazuje wszystkim drzwi boczne; wszyscy idą oprócz Jana, który w tej samej postawie pozostaje na miejscu).

STANISŁAW.

A ty Janie?

JAN, głową dając znak przeczący.

Dziękuję.

(Stanisław odchodzi za innymi, po chwili Juliusz wraca i zbliża się do brata).

JULIUSZ, błagalnie.

Janie! chodź z nami!

JAN.

Nie mogę.

JULIUSZ.

Słyszałeś, jaką nam Paweł przywiózł wiadomość!

JAN.

Niech się nią cieszy, kto może!

JULIUSZ, gwałtownie.

- Biada wąpiącym! (łagodniej) Nie pójdziesz?

JAN.

Nie pójdę.

JULIUSZ.

A więc . . . drogi nasze się rozchodzą! bracie . . . bądź
zdrow!

(wybiega).

Scena 7.

JAN, sam.

Nie! drogi nasze nietyle się rozejdą, jak ci się zdaje
w tej chwili -- wszyscy się spotkamy u jednej przepaści! . . .
Ale tu, misya moja skończona! Losy rzucone . . . gra hazard-
owna, szalona, już rozpoczęta. . . Niejeden z tych, co dziś
najgłośniej krzyczą, szczęśliwie może z niej się wywinie — ale
on . . . ale kraj . . . ale sprawa nasza! . . .

(Głęboko poruszony odchodzi, potem Juliusz znowu wraca).

Scena 8.

JULIUSZ, sam.

Nie masz go . . . już poszedł . . . odjechał . . . a jam się
z nim tak rozstał . . . jam go nie pożegnał! . . . I to teraz
właśnie, teraz . . . O, gdyby mię nie był opuścił! . . . Czyżto
ja temu winien, że nierazem dążymy do jednego celu? Czyż
ja winien, że tak na świat patrzeć, tak opierać się uczuciom,
tak rozkazywać woli, jak on, nie jestem w stanie? Idę, jak
płynię potok, jak fale unoszą! Idę w tę stronę, w którą prąd
ciągnie wszystkich — wyróżniać się nie umiem . . . i nie chcę!
Ale nie bój się bracie kochany . . . niegodnym ciebie się nie
stanę! Siła, co mię pchnie naprzód, to siła szlachetna — brzy-

doty ja nienawidzę . . . i ufam Bogu, że jakkolwiekby rzeczy się obróciły, nie splamię poczciwego imienia! To sobie i tobie przed Bogiem obiecuję święcie: *Mors melior macula!*

(odchodzi).

Zmiana dekoracji.

Scena 9.

Znowu salonik matki, jak w poprzednim akcie.

LINCIA, wchodzi z koszykiem, siada i zaczyna skubać szarpie w milczeniu — po chwili przerywa robotę i wspiera głowę na ręce.

Ani w tem nawet nie znajduję ulgi! . . . W tem mniej jeszcze niż w każdym innym zajęciu! . . . Dla kogoż te strzępki skubię? . . . komu one służyć będą? . . . Boże, dzięki ci za tę niepewność samą! Dzięki Ci, że mądrość twoja przyszłość przed nami zakryła! . . . Może się dręczę napróżno . . . może za kilka miesięcy będziemy wszyscy znowu siedzieli razem za tym stołem, jak dawniej bywało, ciesząc się i radując społem przebytą troską, nowem życiem, nowem szczęściem. . . . Na samą tę myśl, nieznaną jakieś ogarnia mię uniesienie! . . . Czemuś więc tak smutna duszo moja, jakby w jakim ogroju? Ach! bo nim do czego przyjdzie . . . któż wie, co się stać może! . . . „Nim słońce wejdzie, rosa oczy wygryzie“ — tak mi dziś jeszcze mówiła moja piastunka poczciwa. Starzy zawsze się boją . . . i myślą się też czasem . . . ale czasem także aż nadto dobrze zgadują! . . . Ten biedny Zagraj dziś tu przybiegał, szukając pana swego — wyglądał tak jakoś niespokojny, smutny. . . . Grzech wierzyć w zabobony, w przesady . . . ale ja tak nie lubię, kiedy te psy wyją! . . . (bierze znowu kawałek płótna i skubie) O, wy moje niteczki drobne . . . powiedzcie mi. . . Ale nie . . . lepiej nie mówcie! . . . Chciałabym tylko tchnąć w was własności cudowne! (bierze kupkę szarpi i przyciska do ust) Bądźcie, o bądźcie lekkiemi tym bolesnym ranom, których dotkniecie! Niech świeżość wasza ich ogień ochłodzi! Niech . . . niech . . . o, mój Boże, mój Boże! (zakrywa twarz rękoma i płacze — wchodzi Juliusz ostrożnie i zbliża się cicho).

Scena 10.

LINCIA, JULIUSZ.

JULIUSZ, dotykając zlekka jej ramion.

Linciu!

LINCIA, zrywa się przełęczniona, poznaje go i rzuca mu się
na szyję.

Ach! . . . to ty, mój braciszku drogi!

JULIUSZ.

Cóż to? łzy?

LINCIA.

Byłam trochę smutną.

JULIUSZ.

Gdzie matka?

LINCIA.

Modli się i płacze.

JULIUSZ.

Biedna!

LINCIA.

Ale ty mi także coś niedobrze wyglądasz?

JULIUSZ.

Okrutniem zmęczony — całą noc nie spałem . . . a teraz
muszę tu na kogoś czekać.

LINCIA.

Usiądź wygodnie tymczasem i zdrzemnij trochę.

JULIUSZ.

Dobrze mówisz, moja pocziwa siostrzyczko!

LINCIA.

Już ja dopilnuję, żeby ci nikt nie przeszkodził.

(Juliusz zagłębia się w sofę, Lincia mu układa poduszkę
pod głowę).

JULIUSZ.

Dziękuję ci! Ale pamiętaj obudzić mię, gdyby kto o mnie
pytał.

LINCIA.

Któż ma być?

JULIUSZ.

Linciu! tobie powiedzieć mogę, a nawet na wszelki wypadek powiedzieć muszę. (Lincia więcej jeszcze doń się zbliża, Juliusz mówi ciszej i tajemniczo) Ma tędy iść transport broni, przeznaczonej do rozmaitych pułków — wiemy, że będzie słabo konwojowany — transport ten mamy odbić w lesie, broń wziąć ile nam potrzeba, resztę zaś ukryć jak można, a nie, to zniszczyć. . . .

LINCIA, z natężoną uwagą.

A potem?

JULIUSZ.

Chcą, abysmy się rozeszli do domów, jak gdyby nic nie było. . . .

LINCIA.

Ale żołnierze konwojujący? cóż się z nimi stanie? . . .

JULIUSZ.

Ha! . . .

LINCIA, (z przerażeniem).

Nie macie ich zabijać przecie? . . .

JULIUSZ.

W wojennym czasie nicby nie było dziwnego!

LINCIA.

W wojennym czasie?!

JULIUSZ.

Ale ja inne podawałem projekta. Radziłem ich tylko pochwytać, powiązać, nam samym zaś przebrać się w ich mundury i broń prowadzić dalej, a potem rzucić się gdzieś w bok, by się do większych dostać lasów, bo tu . . .

LINCIA.

Oddycham! . . . Czy to ty masz tą wyprawą kierować?

JULIUSZ.

Nie, ja żadnego nie przyjąłem dowództwa. Chciano nawet, abym wcale do tej wyprawy nie należał, tylko dał moich ludzi, sam zaś tymczasem tu jak najwięcej się pokazywał. Ale to być nie może! Nie mogę ich narazić, a sam pozostać bezpieczny!

LINCIA, błagalnie.

Ach! tylko nie zabijać, nie zabijać nikogo!

JULIUSZ.

Dziecię! módl się . . . to nam nie zawadzi!

LINCIA.

A ty, mój braciszku drogi?

JULIUSZ.

Ja się spowiadałem z całego życia!

LINCIA.

Możebyś dał jeszcze na Mszę świętą?

JULIUSZ.

Pieniądze tak mnie samemu teraz potrzebne . . . tyle ich już wydałem . . . i tak niewiele mam, . . . Ale . . . poczekaj . . . (wybiera z portmonetki papierek i daje Linci) Masz . . . poszlij to do kościoła. . . (z głębokim uczuciem) Boże! ty widzisz moją intencję!

LINCIA.

Niech ci się to wróci błogosławieństwem stokrotnem! Ale teraz, spocznij koniecznie. (na stronie) Tak łatwo z sił spada, a tyle trudów ma przed sobą!

(Odchodzi. — Juliusz opiera głowę o poduszkę i wkrótce usypia — pochwili Lincia wraca).

LINCIA, chodząc na palcach).

Już usnął? . . . Jakże być musiał zmęczony! O, śpijże, śpij, mój najdroższy! . . . Ach! czyż można kogokolwiekbądź więcej kochać, niż brata? . . . Aniele Strózu, osłaniaj go twemi skrzydłami . . . i teraz . . . i potem . . . i zawsze!

(Ktoś stuka do drzwi — Lincia idzie ku nim i ostrożnie otwiera. Wehodzi Jozafat — Lincia cofa się zdziwiona).

Scena II.

JULIUSZ śpiący, LINCIA, JOZAFAT u drzwi.

JOZAFAT, jak najśłodszy głosem.

Przepraszam panią — czy mogę widzieć pana Juliusza!

LINCIA.

Chciał trochę spocząć. . . Jeśli nic nie ma pilnego. . .

JOZAFAT.

Owszem, pani — bardzo pilno!

LINCIA.

W takim razie . . . proszę!

(Juliusz otwiera oczy, spostrzega Jozafata, zrywa się z miejsca i spieszy ku niemu).

JULIUSZ.

Jestem, jestem . . . idźmy ztąd! Siostrzyczko, do zobaczenia!

(Jozafat kłania się Lincii, obaj wychodzą).

LINCIA.

Któż to być może? . . . przykre zrobił na mnie wrażenie! Zdać sobie sprawy z tego nie umiem . . . nigdy takiego głosu nie słyszała! . . . Dokądże go z sobą powiodł? Ale . . . do zobaczenia, powiedział . . . więc wróci!

(odchodzi do swego pokoju).

Scena 12.

MATKA wychodzi z przeciwnej strony, za nią BARANKIEWICZ.

MATKA, spokojnie.

Więc powiadasz, panie Barankiewicz, że oziminy wogóle dobre, ruń pięknie zielenieje na polu?

BARANKIEWICZ.

Chwała Bogu, Jaśnie wielmożna pani, chleba będzie . . . byle tylko było komu jeść!

MATKA.

Cóż to? co wacpanu przychodzi do głowy?

BARANKIEWICZ.

Różnie bo słyhać, JW. pani.

MATKA.

I cóż słyhać naprzykład?

BARANKIEWICZ, patrząc w dół.

Ej, co mam mówić? . . .

MATKA.

Ależ mów, kiedy tak chcę!

BARANKIEWICZ.

Jużcić zapewne . . . młodości wiele wybaczyć trzeba!

MATKA.

Młodości? . . . Cóż chcesz przez to powiedzieć?

BARANKIEWICZ.

Ej no . . . JW. pani wie dobrze . . . to wszystko, co się dzisiaj święci!

MATKA, na stronie.

Oddycham!

BARANKIEWICZ.

I nasz panicz, pan Juliusz, właśnie dlatego że młody i niedoświadczony, z przeproszeniem JW. pani, niedobrze robi, że się wdaje z rozmaitą gawiedzią. Tym ludziom ufać nie można.

MATKA.

Jakim ludziom? Mów jaśniej panie Barankiewicz.

BARANKIEWICZ.

Bo to widzi JW. pani, kogo tylko nadybie, każdego sły-
szę wokuje do siebie, namawia, obiecuje Bóg święty wie co!
Kwapią się naturalnie — ale czy to na takich miasteczkowych
urwisach polegać można? Dla nich zrobić burdę, w to mi
graj! Ale czy oni wiedzą, czy oni znają, co to Polska, co to
ojczyzna? Póki zapanbrat z panami, to dobrze! Ale jakby
przyszło do czego, broń Boże, a zrobiło się gorąco . . . to i po
wszystkiem! Który dziś najwięcej obiecuje, ten później naj-
pierwszy wyda, (podczas tej rozmowy matka usiadła i wsparła
głowę na dłoni). Czy to ja nie znam tych Judaszów, czy co?
I dlatego, z przeproszeniem JW. pani, ja stary sługa, raz
jeszcze mówię, że nasz panicz niedobrze robi.

MATKA.

A jakież duch u włościan?

BARANKIEWICZ.

Jaki tam może być duch, JW. pani? Chciwość ich opa-
nowała, i basta! Wódki nie piją, to prawda — i to z łaski
Jaśnie wielmożnego państwa, którzy ich sami, ze swoją wła-
sną szkodą do wstrzemięźliwości namawiali, bo propinacya od-
tąd upadła. Ale djabeł włożył im teraz w kieszeń! Solą im
w oku pańskie dobro — za kawałek ziemi gotowi sprzedać sie-
bie z duszą i ciałem.

MATKA.

Czy oni wiedzą, co się święci?

BARANKIEWICZ.

Kto ich tam odgadnie, JW. pani? Chytry naród! a najgorsi ci urlopowani żołnierze! Plotą po wsiach smalone duby, rozpowiadają niestworzone baśnie . . . aż strach nieraz człeka ogarnia! (z filuterną miną) Prawda, że to my zawsze starali się Najjaśniejszemu Panu na służbę oddawać, co mieliśmy najlepszego, dla oczyszczenia włości — teraz te łotry wracają jeszcze lepszymi niż wyszli, i apostołują poswojemu. Broń Boże czego, JW. pani, to za nic ręczyć nie można!

MATKA, w zamyśleniu sama do siebie

Broń Boże czego! . . . Ach! prawda, broń nas Panie Boże! (zmieniając ton) Dobrze, panie Barankiewicz, dziękuję wacpanu za przestrożę — możesz już sobie wracać do domu. A jeżeli na żyto cena niezła, to ponieważ ruń piękna, można by coś sprzedać z dwuletnich zapasów — pewniejszy dziś pieniądz w kieszeni, niż zboże w spichrzu. do zobaczenia!

BARANKIEWICZ, kłaniając się nisko.

Padam do nóg JW. pani! Zatemże niech będzie pochwalony. . . .

MATKA.

Na wieki!

(Barankiewicz cofając się z uszanowaniem aż do drzwi, odchodzi).

Scena 13.

MATKA sama, załamując ręce.

I to w takim stanie rzeczy, wśród takich elementów, tu jakiś wybuch przygotowują! . . . O, ludzie bez sumienia, co pchną do takiej katastrofy! O, ludzie bez rozumu, co temu parciu ulegają! Młodzieży się nie dziwię . . . onaby zawsze rada po księżyc sięgnąć zębami . . . ale ci, co oddawna już młokosami być przestali, ludzie, którzyby dojrzałymi być powinni, i którym się jednak zdaje, że taki mur głową przebić można . . . nie, tych, tych to już zgoła pojąć nie jestem w stanie! . . . I cóż z tego będzie? . . . Na czemże się to wszystko skończy? . . .

(głęboko przybita, odchodzi do swego pokoju).

Scena 14.

JULIUSZ, wchodzi prędkim krokiem i rzuca czapkę na stół z widocznym nieukontentowaniem.

Ani ładu, ani porządku! Jeden mówi tak, drugi inaczej; raz to, drugi raz owo! (bierze się za głowę) Chaos . . . chaos!!

LINCIA, otwiera drzwi od swego pokoju i zagląda do salonu.

Wróciłeś?

JULIUSZ.

Nie masz tu szklanki wody? pić mi się chce okrutnie!

LINCIA.

Ja ci wnet przyniosę!

(chce biedz, Juliusz ją wstrzymuje).

JULIUSZ.

Poczekaj! co masz się dla mnie utrudzać! sam znajdę!

LINCIA.

Co ci jest? wyglądasz tak . . . jak gdybyś był zniechęcony! . . .

JULIUSZ.

Zgadłaś! Niewiadomo, co robić, czego się trzymać i kogo słuchać. . . Wszystko w łeb wzięło . . . ów transport jakoby poszedł inną drogą . . . wracam do domu. . .

LINCIA, z radością.

O, toż chwała Bogu! . . . Przynajmniej należycie wypoczniesz i choć raz prześpisz się spokojnie!

JULIUSZ.

Matka u siebie?

LINCIA.

Tak, mój braciszku drogi. (Juliusz idzie do pokoju matki, Lincia wznosi ręce do góry) Ów transport poszedł inną drogą. O, dziękiz, dzięki Niebu!

Kórtyna zapada.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

A K T III.

Scena przedstawia rynek w miasteczku i targ ożywiony — w głębi widać ratusz starożytny — naokoło domy, kramy — dużo ludzi, chłopci, żydzi, szlachta zaściankowa — gdzieś tam moskale z brodami, moskiewki siedzące za stolikami, na których chleb, kołaczki, obwarzanki, pierniki — garbarze ze skórami, kuśnierze z czapkami, garncarze z rozmaitem naczyniem glinianem i polewanem — chłopci z łnem i sianem — od czasu do czasu żyd z cielęciami za nogi związanymi i zawieszonym na ramieniu przebiega się przez tłum i wynosi się za scenę — chłopki z kurami i kobiątkami pełnymi jaj — ruch i gwar — żydzi opadają chłopów i pędzą się za nimi, odbierając im, co mają na sprzedaż — chłopci jedni się bronią, drudzy ulegają namowom i liczą z niedowierzaniem otrzymane pieniądze — inni znowu kupują skóry, tytoń w liściach, obwarzanki, kołaczki... Na samym przodzie sceny z jednej strony traktyer z szyldem, z drugiej naprzeciwko sklep porządniejszy z wszelkiego rodzaju towarami. W nim strojna żydówka za kupieckim stołem. Z traktyerni wychodzą Zdzisław, Piotr, Paweł, przypatrują się ludowi, mięszają się z tłumem i nikną w nim.

Kostunia przebiega się przez tłum i wchodzi do sklepu.

KOSTUNIA.

Pani Rocha, jak się masz?

ROCHA, wymawiając z żydowska.

Chwała Panu Bogu! Rocha kontent, że panienki nareszcie zobaczyła. Och, ja myślałam, co panna Kostunia gniewa się na Rocha... dalibóg, ja sama nie wiedziałam, co i myśleć, że panienki tak na Rocha zapomniała... .

KOSTUNIA.

Masz tasemek białych? jedwabiu czarnego?

ROCHA.

Tylko takie głupstwa?... Och! czy to warto i pytać? Coże więcej?... Ja myślałam, co panienki u mnie cały kram zakupi! (stawia pudełkę przed Kostunią) Mam teraz bardzo piękny wstążek czarnych szerokie! gatunek doskonały!... wraz je pokażę!...

KOSTUNIA.

Niepotrzeba.

ROCHA.

Nu, tożę nie szkodzi zobaczyć . . . tożę nie kosztuje!
Ja tanio oddam!

KOSTUNIA.

Znam ja twoje tanioci!

ROCHA.

Nu, ja darmo mogę oddawać, co? Och! jaka panienkie skapa zrobił się. . . Ja panienkie będzie skarżyć przed nasze dobre panowie! . . . Gwałt, kiedy ja pomyśli, jakie dawniej buli czasy, a jakie dziś, to mnie łyzy leje się z oczu . . . dalibóg, ja płaczę! . . . mnie serce wrywa się!

KOSTUNIA.

Sama nie wiesz, co pleciesz! Zawsze kupujących pełno w twoim sklepie! Albo to mało teraz od chłopów zarabiasz?

ROCHA.

Od chłopów!? . . . Herst du? . . . Och! jak panienkie chce się tak mówić! Pfuj! . . . Nie daj Boże takie targi! . . . póki oni na dziesięć kopiejek kupi, to oni całe moje kramy przewróci . . . zwyczajnie prosty człowiek . . . a proster Mensch! co on zna? cożę od nich można wymagać?

(Zdzisław i towarzysze jego wychodzą z tłumu — Rocha ciekawie na nich patrzy i mówi dalej):

My modli się, dalibóg, my tak modli się w naszej szkole, co ja nie mogę powiedzieć! My prosim Pana Boga, żeby dawne dobre czasy wrócili . . . żeby panowie przyjeżdżali tu znowu na reduty, na bale! . . . żeby Rocha targowała za rekawiczki, za perfumy, za wstążki, różowy, blenkitny, pasowe, zielony . . . żeby buli różne dobrości, różne wesołości . . . panienkie już wie, co ja chcę powiedzieć, panienka Rocha rozumie. . . Żeby wszyscy bul kontent, żeby tańcowali, żeby zamaż wychodzili jak dawniej! . . . to prawda jest, co ja mówi, żeby ja tak zdrów bula. . . Teraz jak nam żyć? na charakter, ja nie wiem!

KOSTUNIA.

A włóczki, których mojej panience zabrakło do dywanika dla pana Juliusza, czy już masz? Chciałaby prędzej skończyć tę robotę, bo w tych dniach pana Juliusza urodziny.

ROCHA.

W tych dniach? Nu, to dobrze, że ja wiem! Rocha musi powinszować. Och! śliczny panicz! A fajner, a edter Jung Herr! Od niego można dobrze zarabiać! On chce i sam żyć i drugim ludzkie chleba dać! On nie lubi targować się... broń Boże!... On mnie zawsze powiada: Rocha, ja tobie wierzę, co ty nie skrećisz!... I to prawda jest... ani na jeden kopiejka!

(Paweł zagląda do sklepu).

ROCHA.

Co panu potrzeba? proszę pana, proszę do mojej kramy! Mam wszystkiego w doskonałe gatunki!

PAWEŁ, wchodząc.

Masz cygara?

ROCHA.

Jest! (krzycząc do żydka, który stoi przed sklepem i gapi się na rynek) Mendel!... Mendel!... Herstu? Gib a Sprung und bring a päckel cygarres! (do Pawła) Coże jeszcze? może jeszcze co potrzeba? Herbaty, cukier, migdały, rozyński...

ŻYDÓWKA, z sąsiedniego sklepu szarpiąc Pawła za polity.

Co wielmożny pan tu chodził? tuż nic nie ma! U mnie jest cygarra... bardzo proszę do mnie... u mnie jest co dobrego!

(Paweł odchodzi).

ROCHA, wołając za nim.

Panicz! panicz! proszę poczekać! (do Kostuni) Panienka teraz widzi, jakie moje szczęście, jakie moje targi!... Panienkie zna tego młodego pana?

KOSTUNIA

Pierwszy raz widzę. Któż on?

ROCHA, ruszając ramionami.

Ja nie wiem. Już drugi dzień ja jego widzi, jak on chodzi i tu i tam z drugimi panowie. Nu, coże Rocha do tego?

ŻYDZIAK, wracając z paczką cygar.

Nehmt zu!

ROCHA, do Kostuni, kończąc przerwana rozmowę.

Rocha nic nie wie... Rocha nic nie widzi, nic nie słyszy, co do niej nie należy... Rocha ma swoje interesa, a dru-

gie ludzie swoje! . . . Włóczki panienkie wybrała? . . . A może co jeszcze?

KOSTUNIA.

Na dzisiaj dość i tego. Bywaj zdrowa.

(Zabiera paczki i odchodzi — Barankiewicz otoczony żydami wychodzi z tłumu).

KOSTUNIA.

Dzień dobry, panie Barankiewicz! Dobrze że się tu spotykamy . . . a gdzie moje pierniki?

BARANKIEWICZ.

Będą, będą, moja królowo!

KOSTUNIA.

Co tam będą? Obiecanka cacanka, a głupiemu radość. Potrząś lepiej zaraz swoją sakiewkę!

BARANKIEWICZ.

Musisz mi pierwej uszyć nowy kapturek — stary już się podarł zupełnie!

KOSTUNIA.

Jeszczeby tego brakowało! wstydz się, wstydz, stary sknero! (odchodzi).

ŻYD I.

To rozumna panienska jest! ona prawdę mówi! Co pan taki skąpy jest? co pan tak droży się z wołami!

BARANKIEWICZ.

Daj ile warte, a weźmiesz choć dziś!

ŻYD II.

On daje dobre cena . . . pod chairem, dobre cena!

BARANKIEWICZ.

Aui kopiejki mniej nie wezmę, jak powiedziałem.

ŻYD I.

Posłuchaj pan. Skąpy dwa razy traci . . . to wielkie prawda jest. Teraz najlepszy czas sprzedawać jest! . . . Ja panu dobrze radzę . . . my żydkie znamy się na te rzeczy! Potem woły chude zrobi się, i coże z tego będzie? Przedaj pan lepiej zaraz . . . potem za pół ceny trzeba będzie oddać!

BARANKIEWICZ.

Nie twoja bieda!

ŻYD I.

Nu, ja wiem, że niemoja, ale ja panu Barankiewicz dobrze życzy!

ŻYD II.

Nu, a coże będzie ze lnem? czy my zejdzie się na targ?

BARANKIEWICZ.

Od ciebie to zależy. Mówiłem ci już.

ŻYD II.

Ja chce dziś cokolwiek zarabiać... dalibóg ja chciałyby targować... ale pan takie ceny trzyma się, że ja nie mogę... pod chairem, nie mogę.

ŻYD I.

Toże dziś nie te czasy co dawniej jest... dawniej pan jeździłeś z podwodami do Rygi, to o biedne żydki nie było co i gadać... a teraz podwody nie ma, trzeba na miejscu sprzedawać! Co pan tego zapomina?

BARANKIEWICZ, z goryczą.

Oj, zapominam, to prawda!

ŻYD I.

Widzi pan, co Szmulko powie, to zawsze prawda jest! No, a z tym drugim żydkiem co będzie? onże kupuje żyto, groch, pszenicy!

ŻYD III.

I zmiłuj się pan, ja na każdy pur cokolwiek dołożę... po pięć kopiejek... nu, po dziesięć...

ŻYD I.

Niechaj będzie po piętnaście!

BARANKIEWICZ.

Po dwadzieścia pięć!

ŻYD I.

Dalibóg, to wstyd jest tak targować się! panie Barankiewicz, ja pańskie śpichrze widziałem... od dwóch lat ani jeden ziarnko nie sprzedano!... panowie będzie zawsze panowie! Pana Barankiewicza pani bogata pani jest!... a nam biedne żydkie warto dać cokolwiek zarabiać!

(Barankiewicz zmierza ku traktyerowi, żydzi za nim).

ŻYD III, sunąc mu pieniądze do ręki.

Bier pan zadatek, bier!

(Zbliża się dwóch młodych chłopów z miną gęstą — jeden z nich spostrzegłszy Barankiewicza, chce uchylić czapki, drugi szturcha go łokciem w bok, żeby mu przeszkodzić).

ŻYD I, znacząco do Barankiewicza.

Ot widzi pan, jakie teraz czasy jest! co te chamy sobie pozwalają! oni myśli, że oni teraz panowie! a dlatego chłop jak był chłopem, tak i zawsze będzie, a panowie jak byli tak i zostaną panowie — tylko im teraz trzeba z poczciwe żydki dobrze żyć!

(Barankiewicz wchodzi do traktyeru, żydzi za nim — rynek powoli zaczyna się opróżniać)

CHŁOP I.

Co ci było? czyś ty rozum stracił? kłaniać się temu staremu djabłu, jak gdyby u niego bizun jeszcze wisiał za pasem?

CHŁOP II.

Ręka z nałogu sama się podniosła do czapki. . . .

CHŁOP I, zapalając sobie cygaro.

To prawda! . . . nikt nam rozkazać nie śmie tylko car
Każdy teraz sam sobie pan!

(Biorą się pod ręce i przechadzają się po scenie z gęstą miną).

CHŁOP I.

Dość im panowania nad nami! . . . Niech teraz popróbują sami sobie orać, bronować, siać i kosić. . . . (śmieje się)
Nam panów niepotrzeba!

CHŁOP II.

Wszystko, co oni mają, to nasza praca!

CHŁOP I.

Wszystko to nasze!

CHŁOP II.

Skończyła się pańszczyzna!

CHŁOP I.

Dość im już naszej daniny! . . . dość jej się nabrali! . . .
Niech tylko spróbują! . . . damy im daninę! (śmieją się).

CHŁOP III starszy, nadchodząc.

Co wy tu chłopcy robicie? . . . Szkoda czas tracić na próżno! Pojdzem do Dawida!

CHŁOP II.

Ja zapisany! ja wódki nie piję!

CHŁOP III.

Kto ci o wódce mówi? Pójdziem na wino! Dobre wino! pańskie wino!

CHŁOP I.

Dobrze mówisz, bracie! Pójdziem do Dawida wypić za zdrowie cara! Niech mu Bóg daje szczęśliwe panowanie! Co nam teraz pany? My tacy panowie jak i oni!

(Wszyscy trzej wychodzą — rynek tymczasem się opróżnił — dekoracye się zmieniają).

Scena I.

Tenże salon, co i pod koniec aktu drugiego.

LINCIA, wychodzi ze swego pokoju, trzymając pugilares w rękę.

Dziwna rzecz! pojąć tego nie mogę!... przysłała mi swój pugilares, w nim parę obligów, i nic więcej!... Ani jednego przytem słówka!... Cóżby to znaczyć miało? Zapewne sam wkrótce przybędzie i wytłumaczy tę zagadkę. Spokojniejszą się dziś jakoś czuję... może mi się nareszcie uda coś przeczytać bez roztargnienia! (bierze książkę ze stolika, otwiera ją, siada i czyta — po chwili nadstawia ucho) Cóż to za turkot? (wstaje i idzie do okna) Kilka powózek wielkim leci pędem!... zawracają tędy... Ależ to on, to Julek ze swymi ludźmi... lokaj jego nieodstępny, kucharz, łowczy... wszyscy ze strzelbami! (kłania się przez okno i posyła bratu pocałunek ręką od ust) Dokądże tak mogą spieszyć?... Na polowanie?... Dla rozrywki po doznanym zawodzie?... to dobrze!... Tylko że teraz nie pora... chyba na słomki, albo na wilki... w każdym razie wracając, wstąpi do nas. (podchodzi pod drzwi pokoju matki i puka do nich zlekka) Mamciu, mamciu droga!...

MATKA, ukazując się w progu.

Cóż tam?

LINCIA.

Tylko co tędy przejechał Julek — patrzył w okno i kłaniał mi się... czy można będzie nań poczekać z herbatą?

MATKA.

Prosiłże cię o to?

LINCIA.

Nie... nie zatrzymał się wcale i niceśmy z sobą nie mówili.

MATKA.

Zkądże wiesz, że tu będzie?

LINCIA.

Jakżeby mogło być inaczej? Wnoszę, że pojechał na polowanie — a więc wracając o zmierzchu, niechybnie do nas wstąpi. . . . A tak dawnośmy już z sobą wszyscy razem przy stole nie siedzieli spokojnie, wesoło! . . . Nie prawda moja mamciu, że wolno będzie poczekać trochę?

MATKA.

Rób jak chcesz, moje dziecko!

(wraca do swego pokoju).

LINCIA.

O, jabym dla nich nietylko opóźniła wieczerzę, ale i słońce i księżyc i ziemię w jej biegu bym zatrzymała. Byle z nimi, z mymi kochanymi braćmi żyć i umierać! (p. k. n.) Ale umierać mi się jeszcze nie chce . . . wolę żyć i kochać! żyć i być szczęśliwą! Żyć, i tych, których kocham, szczęśliwymi widzieć! A teraz, pomyślmy o tem, by dziś Julkowi u nas dobrze było! (rozgląda się po pokoju) Ta lampa tu! . . . (bierze lampę ze stolika w kącie i stawia ją na stole przed sofą). Nie! . . . pierwaj stół przykryć nowym kobiercem . . . (wybiega do swego pokoju, wraca za chwilę, lampę odstawia na stronę, stół przykrywa, stawia znowu lampę na nim i przypatruje się swemu dziełu z upodobaniem) Tak . . . teraz dobrze! Julek lubi, żeby wszystko było porządne i ładne! . . . popielniczka i zapalki! (bierze te sprzączki z etażerki i stawia na stole) Bo mu dziś nawet palić będzie wolno w salonie. . . . (figlarnie) Już ja to biorę na siebie! . . . A teraz jeszcze co tchu posłać do piekarza po świeże bułeczki . . . i zajrzeć trochę do kuchni z powodu wieczerzy.

(Idzie ku drzwiom środkowym, chcąc wyjść z salonu,
i spotyka się z Janem.

Scena 2.

LINCIA, JAN.

LINCIA, z radością:

I ty też, Janie! Jakże wyśmienicie się składa! Jak dobrze, że i ty także dziś do nas przybywasz!

JAN, zdziwiony.

Ja także? Któż jeszcze?

LINCIA.

Nasz kochany Julek!

JAN.

Tu jest?

LINCIA.

Nie, ale wnet będzie!

JAN.

Któż ci to powiedział?

LINCIA.

Widziałam, jak tędy przejeżdżał. Nie ma wątpliwości, że wracając, do nas wstąpi i da się zatrzymać.

JAN.

Ja doń wstąpiłem po drodze, alem go nie zastał — wyjechał był już. . . Linciu, nie czekaj go . . . wyjechał . . . ale już nie wróci.

LINCIA.

To być nie może! . . . być nie może, Janie!

JAN, smutnie.

Powiadam ci, jak jest.

LINCIA.

Mówił mi sam wczoraj, że z tego już nic nie będzie!

JAN.

A dziś otrzymał rozkaz . . . i pojechał!

LINCIA.

To okropnie, okropnie! biedna nasza matka!

JAN.

I my wszyscy biedni! . . .

LINCIA.

O, mój Boże, mój Boże!

JAN.

Póki jeszcze czas, posłuchaj mię Linciu! Niedługo już może do siebie mówić będziemy mogli.

LINCIA.

Ach! nie mów tego! jeśli mię kochasz choć troszkę!

JAN, ze wzruszeniem.

Przeciwnie, dlatego właśnie mówić powinienem! Dlatego i ty także powinnaś mię wysłuchać do końca i słowa moje zachować w sercu twojem. Przymierzasz mi to?

LINCIA.

Wszystko, co chcesz, przyrzekam, tylko nas nie porzucaj!

JAN.

Z dobrej woli pewnie was nie opuszczę . . . ale wkrótce może inni nas rozłączą!

LINCIA.

Wkrótce? . . . inni? . . . Ależ mój Boże! . . .

JAN.

Słuchaj mię Linciu, każda chwila droga! . . . Wkrótce może na biednej ziemi naszej nietylko my, ale i całe nasze pokolenie, pokolenie żyjące wiarą, nadzieją, miłością, zstąpi do grobu, nikogo po sobie nie zostawiając, lub zostawiając takich, co nas nie zastąpią, bo w nich zgaśnie święte wyższego życia ognisko. Błądzić natenczas będą miłości Boga i . . . miłości ojczyzny! I sztydzić ze wszystkich ideałów piękna!

LINCIA, przerywając mu.

Nigdy! nigdy to być nie może!

JAN.

Ale ty nie zapomnij, że dwie te miłości złączone zawsze były i będą najwyższem pięknem na ziemi! W nich źródło wszelkiego bohaterstwa, wszystkich wielkich, wiekopomych czynów. One także i nam było dotąd kompasem na wzburzonym morzu, zbawczą kotwicą w zwątpieniach i niesmakach naszego żywota! Przez nie jedynie gnębieni i deptani od stu lat, przy życiuśmy się trzymali! Tych uczuć dziś nadużyto do osiągnięcia niepodobnych celów . . . a niepowodzenie na czas je zagasi!

LINCIA.

Tak ci się tylko zdaje! . . .

JAN.

Ale ty Linciu, przez pamięć tej chwili, pielegnować będziesz zawsze i wszędzie naokoło siebie tę podwójną iskierkę świętego ognia (dobitnie) nie aby wzniecała nieszczęsne pożary, lecz by rozświecała cienie śmierci, które będą usiłowały nasz kraj i świat cały ogarnąć, i aby rozgrzewała chłodną atmosferę zewsząd wiejącego nań samolubstwa. W tej atmosferze zbawczy kwiat prawdziwej miłości, miłości tego, cośmy całą duszą, całym sercem i wszystkimi siłami kochać powinni, ani wejść, ani tem mniej rozkrzewić się nie zdoła. (z coraz to większem uniesieniem) Kwiat ten idealny kwitł niegdyś na naszej niwie, choć między rozlicznymi chwastami! Kwitł i był skutecznym antidotem przeciw niejednej truciznie! Jeśli mu damy wśród nas zaginać, jeśli nawet własnymi rękoma wszelkie odrostki jego będziemy wypleniali, pod błahym pozorem, że nas od tej lub owej nie ustrzegł choroby, że nam nawet niby odurzającą swą wonią do zgnby dopomógł, na dobre to nam nie wyjdzie! Cośmy mieli, co nam było właściwem i w niedoli nawet chlubę nam przynosiło, stracimy — a co nam obce, niewłaściwe, czy nabędziemy i czy nabędziemy z pożytkiem, zwłaszcza jeśli z jednej ostateczności w drugą się przerwujemy . . . to jeszcze wielkie pytanie!

LINCIA, która przez cały czas słuchała z natężoną uwagą.

Zdaje mi się, że cię zaczynam rozumieć! . . . że rozumiem twoją boleść . . . i twoje obawy! . . . Tak! . . . czuję, że w tej jednej chwili . . . z dziecięcia prawie stałam się kobietą . . . dojrzałam!

JAN.

Boże! dziękuję ci!

LINCIA.

Ale nie bój się, natury naszej nie przerobić, nie złamać; nagiąć ją chyba tylko można w tę lub ową stronę.

JAN.

I nagiąć też nieustannie trzeba . . . lecz tylko w tę stronę, ku której dążyć powinniśmy. W tem walka, w tem praca człowieka! Patrz, jak każda roślinka na bożym świecie zwraca się naturalnie ku światłu, by zeń czerpać siły, barwę, życie! Tak i duch narodu ma się wciąż zwracać ku słońcu

prawdy i wiary, w którego blasku tylko wszystkie jego wrodzone przymioty rozwinąć się i z którego cały postęp jedynie spływać nań może. Nie zapomnisz o tem?

LINCIA.

Nie! nigdy!

(Rzuca się w jego objęcia, Jan przyciska ją z ojcowską czułością do serca).

LINCIA.

Ale Julek, mój Boże! gdzież on teraz . . . i co się z nim dzieje? . . .

Scena 3.

CIŻ SAMI, MATKA, potem KOSTUNIA.

MATKA.

Co to za gwar zdala dolatuje mych uszu — nie wiecie?

JAN, witając matkę.

Nieśmy nie słyszeli.

KOSTUNIA, wpada przerażona.

Ach! pani, pani, co za okropne nieszczęście!

MATKA I LINCIA.

Co się stało? Mów, mów!

KOSTUNIA.

Całe miasteczko w ruchu, krzyk, gwar na ulicach!

MATKA.

Ale z jakiegoż powodu?

KOSTUNIA.

Powiadają, że powstańcy napadli w lesie, tu zaraz za miastem, na transport broni prowadzony przez kilku żołnierzy. . . .

MATKA.

Powstańcy? co za myśl!

LINCIA.

O, Boże! . . .

KOSTUNIA.

I nasz panicz, pan Juliusz, był jakoby z nimi! . . .

MATKA.

Co ty mówisz, nieszczęsna!

LINCIA.

Ale żołnierze? . . . co się stało z żołnierzami?

KOSTUNIA.

Ach! panienko . . . wszyscy pozabijani!

LINCIA, rozpaczliwie.

O, Boże, mój Boże!

MATKA.

Pozabijani? . . . i on tam był? . . . mój syn? . . .

KOSTUNIA.

Głośno to krzyczą na rynku! Wszyscy na naszego panicza narzekają! Moskale rozjuszeni, z toporami biegają tu i owdzie, odgrażając się . . . mówią, że panicz nasz wszystkiemu winien!

JAN.

On? . . . Naturalnie! . . . Teraz całą winę na niego złożyć gotowi!

MATKA.

Ależ on tam nie był . . . nie mógł być!

LINCIA.

Ach mógł . . . i musiał być!

MATKA.

Nie rozumiem was! . . . wszak pojechał na polowanie?

LINCIA.

Okropne!

MATKA.

Boże! . . . więc tak? . . . O! . . . (załamuje ręce) teraz jużemy go stracili bez powrotu!

JAN.

Wychodzę na miasto, by sam się przekonać o wszystkim. . . .

LINCIA, chcąc go zatrzymać.

O, nie idź, nie idź, proszę! Poco masz się napróżno narażać!

JAN.

Nie bój się, nic mi się nie stanie!
(odchodzi spiesźnie).

Scena 4.

CI SAMI, oprócz Jana.

MATKA, wciąż jednym tylko zajęta.

Pozabijani!... pozabijani!... życie za życie!... krew za krew!...

LINCIA.

A teraz i Jan poszedł! gotowi go schwytać, gotowi go rozszarpać!...

KOSTUNIA.

Ach moja panienko, za nic ręczyć nie można! Strach, co się dzieje! sądny dzień! Wszyscy krzyczą głośno, że panowie chcą wszystkich wyrznąć i całe miasteczko spalić!

LINCIA.

Panowie? spalić!... wyrznąć!... my? my?... ale w jakimże celu?

KOSTUNIA.

Żeby Polska była!

LINCIA.

Co za nierozum! Ale któż to wnawiać może takie głupstwa?

KOSTUNIA.

Oddawna już o tem mówią — na rynku nieraz coś podobnego słyszeć się dało! Mówią, że to panowie zrobili powstanie w Warszawie, żeby do pańszczyzny wrócić! Przed Wielkanocą nawet ostrzegano chłopów, aby na rezurekcyę nie szli do kościoła, bo ich tam wszystkich wyrzną!

LINCIA.

Ależ się przekonali przecie, że w tem nie było i słowa prawdy!

KOSTUNIA.

Wtenczas, tak... ale teraz, jak posłyszeli co się stało w lesie, myślą, że nadeszła chwila!

LINCIA.

Ach! i on wyszedł sam jeden!

MATKA, budząc się z zamyslenia.

Linciu!

LINCIA.

Jestem, mamciu droga!

MATKA.

Gdzie Jan?

LINCIA.

Wnet wróci.

MATKA.

Czy tylko to nie sen! Czy nie zmora okropna? (do Kostuni) Powtórz mi jeszcze, coś słyszała. . . . Kto ci to mówił . . . zkad się ta wieść nieszczęsna rozeszła?

KOSTUNIA.

Pani, wszyscy widzieli, jak pan Juliusz przejeżdżał tędy ze swymi ludźmi . . . wszyscy widzieli także, jak wkrótce potem przez rynek przeszło kilka wozów, przy których szedł prosty moskał, brodac, właściciel wozów i koni, i szło także kilku żołnierzy. Oficer towarzyszący im zatrzymał się jakoby w traktyerni i miał ich później dogonić, wozy zaś poszły dalej pocztową drogą do lasu. Po niejakiś czasie ujrano tego samego moskała biegnącego bez pamięci nazad do miasteczka, był cały skrwawiony i krzyczał, że *miemieźniki* zrobili napad w lesie, strzelali, ranili go, zabili żołnierzy i zapalili wozy; a ponieważ nasz panicz tam naprzód pojechał, więc krzyczą, że to on zrobił, że on winien wszystkiemu.

(Podczas całej tej sceny zmierzch powoli zapadł).

Scena 5.

CI SAMI, JAN.

JAN, wchodząc.

Wzburzenie umysłów niesłychane!.. Dmuchięto w ul... i rozdrażnione pszczoły się rozleciały! Można to było przewidzieć!

MATKA.

Cóż się o nim dowiedział?

JAN.

Nic więcej nadto cośmy już słyszeli.

MATKA.

Ale gdzie on? ... czy uszedł? czy może już schwytyany?

JAN.

Po takim wypadku, nikt tam pewnie na miejscu nie czekał aż się wieść o nim rozniesie!

MATKA.

To prawda! ... o, ... ale serce moje przeczuwa coś okropnego!

LINCIA, na stronie.

Drzę cała od stóp do głowy ... nogi się podemną uginają.

JAN.

Na to nieszczęsne pobojowisko podążył już porucznik z zebranem na prędce tutejszem żołnierstwem. Widziałem także, jak od mieszkania półkownika na kilka stron rozlecieli się konni gońce ... dokąd? ... z jakimi rozkazy? ... Matko kochana! dla wszystkiego należałoby zebrać co ważniejsze i mieć to przy sobie, lub w bardzo pewnym zachować miejscu...

MATKA.

Alboż i my napadu jakiego, tu, mamy się spodziewać?...

Scena 6.

CI SAMI, WINCENTY.

WINCENTY, tajemniczo.

Jest tam ktoś w przedpokoju i chce się zaraz z panem widzieć.

JAN.

Idę. (odechodzi).

LINCIA.

Któż to, mój Wincenty?

WINCENTY, półgłosem.

Jeden z tych co tam byli na miejscu.

LINCIA.

I cóż on powiada?

WINCENTY.

Wszystko prawda!

LINCIA, sama do siebie.

Wątpić więc już nie ma sposobu ... stało się!

Scena 7.

LINCIA, MATKA, w myślach pogrążona.

Wincenty odchodzi, Jan wraca z przedpokoju.

JAN.

Na teraz o niego być możemy spokojni, z tej pierwszej potrzeby wyszedł cały... nic mu się nie stało... i kazał to nam oznajmić.

LINCIA.

Ach!... cóż więcej?

JAN.

On nie chciał strzelać ale Zdzisław dał rozkaz... strzelano więc... a raz zacząwszy trzeba było kończyć...

LINCIA.

Okropnie!...

JAN.

Pomimo to, właściciel wozów uszedł i tu zrobił allarm.. a także i żołnierza jednego nie tak ciężko rannego Julek nasz dobić nie pozwolił, wyratował go od śmierci!...

MATKA i LINCIA.

O, dzięki tobie Panie!

JAN.

Kazał też nam jeszcze powiedzieć, że ma rozkaz dążenia przez noc ku większym lasom i zachodowi, że świeże konie mają nań czekać po drodze... i że w taki sposób ma nadzieję ująć pogoni i przerznąć się może na Litwę.

LINCIA.

Ale czemuż to wszystko on ma czynić? czemuż o nim tylko mowa?... gdzie dowódca prawdziwy?

JAN.

Odjechał do siebie... ma tam zebrać ludzi i z oddziałem się połączyć...

LINCIA.

Połączyć się z tymi, którym w przeciwnym kierunku podążać kazał.

MATKA.

Opuścił go! zwałił na niego cały ciężar! całe niebezpieczeństwo! . . .

JAN.

Nie czas teraz kogokolwiek winić i nie czas narzekać... roztropność raczej każe korzystać z chwili, by nabrać sił i spocząć póki można. Któż wie co jutro nam przyniesie!

MATKA

Dobrze mówisz mój synu, moja ty opieko, podporo już teraz jedyna! Daremnie jednak dziś myśleć o spoczynku. . .

JAN.

Spróbuj jednak matko kochana!
(Odprowadza ją ku drzwiom jej pokoju, do którego matka wchodzi)

LINCIA, która została w tyle.

Janie! czy słyszysz? ktoś przed nasz dom zajechał!

Scena 8.

LINCIA, JAN, WINCENTY.

WINCENTY, półgłosem.

Jakiś pan w przedpokoju pyta o pana Jana.

LINCIA.

Znajomy?

WINCENTY.

Zdaje się, że tu już raz był, szukając pana Juliusza.

JAN.

Linciu, idź do matki.

(Wincenty drzwi otwiera wchodzi Jozafat).

LINCIA, odchodząc.

O! to ten ptak złowrogi! Co on tu chce znowu?!

Scena 9.

JAN, JOZAFAT.

JOZAFAT, w wielkiem poruszeniu.

Nieszczęście, jak słyszę! . . . kapitalne głupstwo! . . . wpadam tu dla powzięcia jakichkolwiek wiadomości!

JAN.

O tem co się stać miało pan przecież najlepiej musiało wiedzieć. Rozbito transport broni. . .

JOZAFAT.

Toż to właśnie najgorzej . . . należało go przepuścić spokojnie . . . i czekać na drugi, który miał pójść za pierwszym . . . z tym inniby tam gdzieś dalej sprawić się potrafili . . . Teraz alarm zrobiony . . . O! kiedyż bo ten Zdzisław taki ograniczony! . . .

JAN.

I toby też dla pana nowiną być nie powinno!

JOZAFAT.

Cóż ztąd, żem wiedział, z kim mam do czynienia? . . . Kogoś nam przecie było trzeba! oszukiwano mię . . . przedstawiano rzeczy wcale inaczej niż znalazłem! . . .

JAN.

A czyś pan pytał takich coby rzeczywistą prawdę powiedzieli?

JOZAFAT.

Upewniono mię, że znajdę wszystko gotowe — ludzi, pieniądze, poświęcenie ofiary. . .

JAN.

Tych to bodaj nie zabraknie! . . .

JOZAFAT.

A tym czasem oprócz brata pańskiego, którego szlachetnym usiłowaniom wszelką oddają sprawiedliwość, nie znalazłem nikogo i nic prócz pięknych słów i niedotrzymanych obietnic. Gdybym o tem wiedział z góry, nie byłbym tracił tu na próżno tyle drogiego czasu. Widzę teraz, że wszystko było daremne i że tu raz na zawsze należało dać za wygraną!

JAN.

Dysputować teraz nie pora. Pozwól mi pan jednak powiedzieć, że różne być mogą poświęcenia i ofiary, ale dobrmi te tylko, które do zamierzonego celu doprowadzić mogą. Czy bierność pozorna pułków, którym do ostatniej chwili stać każą nieruchomie pod bronią choć kule naokoło padają i podczas gdy towarzysze idą w ogień do boju na otwartem polu, nie wymaga też męstwa i poświęcenia bez granic? . . . spierać się o to nie będę w tej chwili . . . bo już nie ma poco. Panu zaś

chyba tę tylko radę dać mogę, byś ztąd uchodził spiesznie, jeżeli ci życie miłe. Czy słyszysz zdala ten głuchy szmer? — Stoimy na wulkanie! — Gdzie brat mój teraz i czy go kiedykolwiek zobaczę? nie wiem... Ma jakoby przez otwarte pola, ludne wsie i odkryte drogi, prowadzić swą zdobycz ku kolei żelaznej... pod fortecą!... W jakim strategicznym celu? O to nie pytam...

JOZAFAT.

O, ten Zdzisław! ten Zdzisław! Wszystkich nas zgubi! Ależ on sam, gdzie jest? co robi?

JAN.

W tej chwili zapewne wśród rodziny swojej po dziennych zaojach spoczywa na wawrzynach.

JOZAFAT.

Jego to przecie obowiązkiem było czynić to co bratu pańskiemu poruczył! On powinien był nie odstępować oddziału! on nie miał prawa oddalać się od zdobytej broni!... Muszę teraz pędzić co koń wyskoczy... muszę przestrzedz... muszę uprzedzić... Jeżeliby kto o mnie pana zapytał, pamiętaj, że przejeżdżałem tu szukać jakiejś dzierżawy... to kwestya życia lub śmierci!... A teraz jeszcze jedno. Proszę nam jutro oznajmić o tem co się tu będzie działo... gdyby zaś pana tym czasem aresztowano... możeby siostra pańska...

JAN.

Co będzie można to się zrobi.

JOZAFAT.

Słowo honoru?

JAN.

Niepotrzebne.

JOZAFAT.

A więc żegnam pana!

(ściska rękę Jana i spiesznie odchodzi).

Scena 10.

JAN, później LINCIA i MATKA.

JAN.

Na inną już wcale teraz śpiewa nótę!... Nic dziwnego... dobrze to igrać z szubienicą zdaleka... lecz gdy się ona w zbyt

bliskiej ukaże perspektywie, widok jej przerażający... wierzę temu!

LINCIA, wyglądając przeze drzwi.

Nie ma już nikogo?

(wchodzi, za nią matka).

MATKA.

Dzieci moje! Nie mogę teraz bez was wytrwać jednej chwili... chcę być z wami... chcę was mieć ciągle, ciągle przy sobie... gdy z was którego nie widzę, zda mi się, że nowe jakieś stało się nieszczęście!... Bliżej, bliżej do mnie oboje... Ach! a on... biedak nasz!... gdzież on w tej chwili?... Noc tak przenikliwie chłodna... po tem okropnem zniszczeniu... po takich przejściach... O, ta krew, ta krew!...

LINCIA, wskazując na okno.

Bracie! patrz, czy tam księżyc wschodzi?...

JAN, zbliża się do okna a za nim kobiety.

To luna... od pożaru!... pali się gdzieś!

LINCIA, drżąc.

O, ja się ognia boję!... patrz, jak wzmaga się czerwoność na niebie! O mało nie widać płomieni!... Biedni nieszczęśliwi, którzy tam wszystko tracą!... I gdzież się to tak palić może?...

JAN.

Tam dalej, w stronie, znowu luna...

MATKA.

A więc już zaczynają podpalać... już kraj pustoszą mieczem i ogniem!... oczy nasze już oglądają wszystkie okropności wojny!... (wskazując na córkę) Gdybyż choć to dziecię przynajmniej ukryć można w bezpiecznem schronieniu!

LINCIA.

O mnie się boisz matko? A cóż mi się stać może?

Scena II.

CISAMI, KOSTUNIA, później WINCENTY.

KOSTUNIA.

Czy też państwo widzą co się dzieje? Jakie okropne pożary! Aż trzy ich dostrzedz można w różnych stronach! Ale

ten najbliższy najstraszniejszy — wszyscy mówią, że się to w majątku pana Juliusza pali!

JAN.

Bardzo prawdopodobnie!

MATKA.

Już niszczą jego chudobę!

WINCENTY.

Niech państwo się nie złączą... proszę pana, nie wiem co to znaczy... ale zdaje się, że dom nasz zewsząd otoczony!

JAN.

Nic dziwnego. Myślą zapewne, że mieć możemy jaką styczność ze sprawcami tego nieszczęsnego napadu i czatują czy kto do nas nie przyjdzie lub ztąd nie wyjdzie. To rzecz naturalna!

WINCENTY.

Zdawało mi się nawet, że dostrzegłem kilku żołnierzy z karabinami i bagnetami idących w tę stronę.

JAN.

W stanie niepokoju, w jakim się znajduje całe miasteczko, straż musi chodzić po ulicach.

WINCENTY.

Ale słyhać już jak wchodzą na ganek! czy mam drzwi zaryglować?

JAN.

Przeciwnie, otworzyć i wpuścić ich jeżeli chcą. Niech się przekonają sami, że lękać się ich nie mamy powodu.

Scena 12.

CISAMI, PORUCZNIK z szarfą i szpadą, u drzwi staje kilku zbrojnych żołnierzy.

JAN.

Czegóż pan tu od słabych, nastraszonych niewiast żądać możesz?

PORUCZNIK.

Nic od nich, do pana mam interes. Wszak to pan jesteś bratem pana Juliusza?

JAN.

Jestem nim.

PORUCZNIK.

Ja was aresztuję!

LINCIA.

To być nie może! to pomyłka być musi!

MATKA.

Co panu jest? pan zwaryowałeś chyba!

PORUCZNIK, ironicznie.

Nie myślę.

MATKA.

Ależ mój syn do niczego nie należał! przez cały ten czas był tu z nami!

PORUCZNIK.

Tak to zawsze się mówi, nawet tam, gdzie wojna wre na dobre. Nikt nigdy do niczego nie należy, każdy spokojnie siedzi w domu, a tym czasem wszędzie kule latają.

MATKA.

Ale pytaj pan kogo chcesz, każdy z moich ludzi poświadczy, że ten syn mój był z nami, gdy się stało to nieszczęście, i że do żadnej zmywy z nikim nigdy nie należał.

PORUCZNIK.

To się pokaże — komisya śledcza w tym celu zapewne niebawem będzieznaczona. Ja tym czasem mam rozkaz aresztowania pana i obowiązek mój spełniam.

JAN.

Próżny tu opór matko kochana. Muszę iść dokąd mię pan Porucznik prowadzi. Ale nie bój się, proszę cię, i bądź o mnie spokojną. Prawda w krótkce na jaw wyjdzie, a ja przynajmniej... do ciebie wrócę!

PORUCZNIK.

Zobaczymy! — a teraz, w pochód!

JAN.

A więc bądź zdrowa, żegnam cię droga matko; żegnam, ale nie na długo! (ściska matkę). Linciu, bądź zdrowa! Nie bójcie się, nie płaczcie... odwagi, energii, mężstwa!
(Porucznik daje znak, żołnierze otaczają Jana i wychodzą z nim, on się odwraca jeszcze raz i znak pożegnania ręką przesyła pozostałym. — Wincenty ociera oczy, Kostunia szlocha.

LINCIA.

Boże! trzebaż było jeszcze i tego!

MATKA, z rozpaczą.

Obydwóch mi zabrali!! (Pada na krzesło).

Zasłona się spuszcza.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

A K T IV.

Scena przedstawia tensam salon co w akcie trzecim.

Scena I.

WINCENTY uprząta pokój, KOSTUNIA.

WINCENTY.

Niech Bóg uchowa! do czego to przyszło! Przez całą noc dziś znowu mimo okien naszych szły fury naładowane rabowanemi rzeczami! Poznawałem rozmaite sprzęty i meble z pańskich dworów! Żeby też tak korzystać z ogólnego nie-szczęścia, trzeba chyba nie mieć Boga w sercu!... I to wszystko sprawa naszych własnych ludzi!...

KOSTUNIA.

To też to właśnie nasze biedne panie najwięcej boli! Własna szkoda nie tyle ich obchodzi, ile szkaradne postęпки tych, którymi się tak serdecznie zawsze opiekowały. A żebyż wiedziały dopiero jak się ulubione wiejskie dziewczęta naszej panienki tej nocy ładnie spisały!

WINCENTY.

Gdybym im sam nie otworzył furtki, myślałbym, że się to komuś przyśniło!

KOSTUNIA.

Żeby też przez całą noc czatować w ukryciu w nadziei rabunku, a potem zziąbłszy na próżnem oczekiwaniu, przyjść jakby nic nie było do domu tych, na których dobro się czychało, aby się ogrzać pod ich dachem... to niedowierzenia!

WINCENTY.

I wory miały z sobą, by je napchać co się zmieści odzieżą naszych biednych pań... i nie wstydziły się tego bynajmniej!

KOSTUNIA.

To zapłata za te wszystkie leki, książki, za te wszystkie pomoce, dary, za te wszystkie dobrodziejstwa, za te rady i nauki, za tę miłość i współczucie jakimi zawsze i aż do ostatniej chwili ich wszystkich darzono!

WINCENTY.

Zawsze taka wdzięczność na świecie! głupi kto na nią rachuje! — Ale zresztą cóż się dziwić prostemu ludowi, kiedy inni, i tacy którzyby zdaje się wiedzieć powinni, jak czynić trzeba, tak postępowali z naszym paniczem!...

KOSTUNIA.

Ach! prawda... jakichże to czasów dożyliśmy!

WINCENTY.

Zgroza o tem myśleć!... Wszak gdyby był zastał konie gdzie być miały, uszedłby może szczęśliwie! Już dniać zaczynało kiedy nasi przejeżdżać musieli przez wsie rozkołów na ich drodze leżące. Wyraźnie już tam na nich czatowano, bo wnet za sobą ujrzeli pogoń uzbrojonego chłopstwa. Popędzali koni co tylko biedne szkapy wyskoczyć mogły, ale coraz to większa tłuszcza nacierała z tyłu. Wtenczas zaczęli jej się odstrzeliwać, kilku nawet ranili. Po każdym strzale motłoch pierchał, by z tem większą potem wściekłością rzucać się za uciekającymi. W tem i koniec przestały... jeden padł na drodze... musiano naprędce odciąć pasy i zostawiono go. Nareszcie nasi dopadli miejsca, gdzie miały stać świeże... nie było ich! Widząc to, biedny nasz panicz sam pobiegł do dworu, wpadł do stajni... i powrócił z niczem!... nie dano mu koni!... odmówiono ich wręcz!

KOSTUNIA.

Okropnie!... taki zawód!

WINCENTY.

Można śmiało powiedzieć, że tem go poprostu zgubili!

KOSTUNIA.

Myśleli tylko o sobie!

WINCENTY.

I nie na wiele im się to przydało! Nasi porzuciwszy wozy

pieszo weszli do lasu, ale ćma rozjuszonego chłopstwa napadła na dwór, zrabowała go i spaliła. . . .

KOSTUNIA.

A z naszymi co?

WINCENTY.

A cóż? Nie znając dobrze miejscowości błędzili długo po lesie, aż nareszcie wygłodzeni, znużeni, co do jednego wpadli w ręce rozkołów, którzy dostawili ich do fortecy.

KOSTUNIA.

Jakże się nad nimi musieli pastwić!

WINCENTY.

Bez tego się nie obeszło!

KOSTUNIA.

Cóż się teraz z nimi stanie?

WINCENTY.

Bogu wiedzieć.

KOSTUNIA.

Ale zkądże ty o tem wszystkim wiesz tak dokładnie?

WINCENTY.

Niektórzy z tych, co ztąd z naszymi złączyć się mieli, byli świadkami wszystkiego zdaleka, wrócili tu i opowiedzieli mi co i jak się działo.

KOSTUNIA.

Czy tylko im wierzyć można?

WINCENTY.

Co mówią zgadza się z wiadomościami jakie zkądinąd biedna nasza pani otrzymała.

KOSTUNIA.

Żebyż oni już teraz przynajmniej milczeli. . . żeby trzymali język za zębami!

WINCENTY.

We własnym interesie przecie powinni być ostrożni!

KOSTUNIA.

Bezpieczniej jednak nie mieć nic do wyjawienia i niepotrzebować drzeć o własną skórę!

WINCENTY.

To się rozumie! Dla tego też i ja żadną przysięgą wiązać się nie chciałem. Lepszy własny rozum od cudzego!

KOSTUNIA.

Czy to prawda, że wszyscy panowie z całej okolicy porabiani i zawiezieni do fortecy?

WINCENTY.

Nietylko panowie ale i oficjaliści! wszystkie dwory puste!...

KOSTUNIA.

Niech Bóg uchwala!

(Na słowa te wchodzi Barankiewicz.)

Scena 2.

CISAMI, BARANKIEWICZ pochylony jak gdyby mu dziesięć lat przybyło.

BARANKIEWICZ.

Niech będzie pochwalony...

WINCENTY.

Na wieki!

KOSTUNIA.

Pan Barankiewicz!

BARANKIEWICZ.

Ja sam... niestety! A nasza Jw. pani czy w domu? czy żyje? czy zdrowa? czy ją widzieć mogę?

KOSTUNIA.

Niezawodnie!... tak się niepokoiła o pana Barankiewicza.

BARANKIEWICZ.

Przy tak ciężkim frasunku pamiętać o starym słudze! Co za dobroć!

KOSTUNIA.

Biegnę z oznajmieniem!

(odchodzi do pokoju swej pani).

WINCENTY.

Zkądże to pan?

BARANKIEWICZ.

Jakby z innego świata!... kryć się musiałem jak jaki złoczyńca... A na co patrzeć byłem zmuszony!... Boże!

jak ja to zdołałem przeżyć!... praca, starania całego życia, cel mojego istnienia... wszystko poszło w jednej chwili!... I moje własne oczy to oglądały!... nie, ja tego nie przeżyję!... Tych kilka dni wyczerpało siły moje... zadało mi cios śmiertelny... pochyliłem się... i już się niewyprostuję... aż chyba w mogile!

Scena 3.

CISAMI, MATKA, LINCIA, KOSTUSIA.

MATKA, idąc spiesznie naprzeciw starego sługi.

Pocziwy mój Barankiewicz! Chwała Bogu że choć ciebie nam zostawiono!

BARANKIEWICZ, z płaczem przypadając jej do kolan.

Ach! Jaśnie wielmożna pani, jakieżto spotkanie! wolałbym mieć oczy zasypane piaskiem, aniżeli patrzeć na taką ruinę!

MATKA.

Mów! chcę wszystko wiedzieć... i już dziś wszystko usłyszeć mogę!... Ale siadaj, musisz być zmęczony... nie zcierpię abyś stał w mojej obecności...

(Matka siada, Lincia przysuwa krzesło dla starego sługi).

LINCIA.

Siadaj, kochany panie Barankiewicz!

BARANKIEWICZ broniąc się.

Tegoby też jeszcze brakowało! Nie, nie, mam jeszcze dość siły, i pamiętam żem sługa!

MATKA.

Dziś nie mamy sług, jeno [przyjaciół]... (Barankiewicz ociera oczy, Lincia idzie do okna). To dobra strona tych dobrych czasów... w ogniu doświadcza się złoto!

LINCIA cofając się nagle od okna.

Ach!

MATKA.

Co ci jest?

LINCIA.

Nic... nic!

MATKA.

Złękłaś się czegoś!

LINCIA.

Nie... tylko...

MATKA.

Tylko co?

LINCIA.

Przejeżdżał tędy jeden znaszyc włościan... wiesz matko droga... syn starego wójta, na którego weselu byliśmy wszyscy temu lat kilka...

BARANKIEWICZ.

Ten właśnie teraz najwięcej dokazywał!

MATKA.

I cóż? odgrażał ci się może gestem?

LINCIA.

Przeciwnie, zdjął czapkę i ukłonił mi się niziuteńko!... prawie aż do ziemi... ale z takim szyderskim wyrazem!...

BARANKIEWICZ.

Bezczelny!... wszystko co najlepsze pozabierał dla siebie... i jeszcze śmie się natrząsać!

(Wincenty i Kostusia którzy pozostali w głębi, dają znaki wielkiego zgorzelenia).

MATKA.

Dzisiaj już nic nas z tej strony dziwić nie powinno... ani nawet boleć... mnie to już nic nie dotyka!...

(Drzwi środkowe z wolna się otwierają i wsuwa się chłop stary, zchylony trzymając w ręku kilka jaj zawiązanych w chusteczce).

CHŁOP.

Niech będzie pochwalony...

WINCENTY, z ofuknieniem.

Co chcesz? po co leziesz do pokuju?

CHŁOP, pokornie skrobiąc sobie za uchem.

Przyniosłem gościńca dla naszej panienczki!

WINCENTY.

Nikt tu twoich gościńców nie potrzebuje. Ruszaj sobie z Bogiem! (wypycha go za drzwi).

MATKA.

Czemużeś go tak niemilosiernie wyprawiał? Może miał dobrą intencję!

BARANKIEWICZ.

A! Jaśnie wielmożna pani! Ten łotr sam jeden wywiózł ze sześć wozów samej tylko najpiękniejszej pszenicy... i śmie jeszcze przynosić kilka jaj w darze... jakby na urągowisko!

WINCENTY, z oburzeniem.

Straszna rzecz! co za hytrość bezczelna!

(odchodzi).

LINCIA.

Boże! co też oni z naszego ludu zrobili!

BARANKIEWICZ.

Trzeba było widzieć ten lud jak ja go widziałem! wtenczas to JW. panienka przekonałaby się, że on na żadną litość nie zasługuje!

LINCIA, z wyrzutem.

O, mój dobry, kochany panie Barankiewicz!

BARANKIEWICZ.

Z pianą na ustach, z krwią zabiegłym wzrokiem, bez pamięci, bez przytomności, tratujący jedni drugich, każdy usiłujący bądź co bądź dla siebie zagarnąć jak najwięcej, pijani chciwością, szaleni, rzucający się wściekle na swą zdobycz, wydzierający ją jedni drugim... Ah! bez wstrętu i ohydy myśleć o tem nie można!... to byli zwierzęta nie ludzie... i gorzej niż zwierzęta!

MATKA.

Biada i stokroć biada tym, którzy z namiętności rozkiełzanego motłochu czynią narzędzie własnych swych widoków! oni najwinniejsi!

BARANKIEWICZ.

Dziś każdy dwór nasz to pustynia, każdy dom to szkielet, jak trupia głowa świecący wydartymi drzwiami i oknami. Ani śladu żywego ducha... jakby morowa zaraza na ludzi i zwierzęta przeszła po całej okolicy... ludzie poszli w rozsypkę... cały dobytek przeszedł w ręce rabusiów — wszędzie tylko pustka i zniszczenie!

MATKA.

W jednej chwili straciliśmy wszystko! Ale... Bóg dał, Bóg wziął — niech się dzieje wola Jego święta!

BARANKIEWICZ.

Żebyż Bóg, JW. pani! ale to ludzie, ludzie wzięli —

i do tego swoi! to, to boleśnie! a czego wziąć nie mogli, to przez złość popsuli!... fortepian JW. pani leży porąbany na kawałki!

MATKA, smutnie się uśmiechając.

Mój biedny Wirth, któremu tyle błogich chwil zawdzięczałam!

BARANKIEWICZ.

Albo biblioteka nieboszczyka pana!... Rowy i łąki jak śniegiem bieleją kartami powydzieranymi z książek — wiatr je roznosi po polach... w pokoju w którym stały szafy, po kolana dziś brodzić można w stosach poszarpanego papieru!

MATKA, z żalem.

Wszystkie nasze skarby! wszystkie pamiątki!... Ale... miejscowość została... ściany, te nieme świadki lepszych czasów stoją też... a mogli byli i te popalić jak gdzieindziej!...

BARANKIEWICZ.

I pewnieby spalili, gdyby — nie wiem zkad ta łaska — generał ich nie zabronił im tego stanowczo!

LINCIA.

Jenerał?

MATKA.

Jaki jenerał?

BARANKIEWICZ.

Jeden zbandy, moskalisko przekłete. Przebrany w mundur obywatelski komenderować musiał wszędzie, bo do nas już pod sam koniec nadleciał... na wierzchowej klaczy pana Jana... była cała pod pianą... nie mógł jej utrzymać... wskoczyła przednimi nogami na ganek... i zarżała żałośnie...

(Barankiewicz odwraca się, by ukryć rozrzewnienie — Lincia zakrywa oczy).

MATKA WZDRUSZONA.

Biedne, poczciwe stworzenie!...

LINCIA.

Biedny Jan... gdyby on to wiedział!

MATKA.

Kostuniu! dla pana Barankiewicza przygotować pokój

na górze... niech pokrzepi swe siły... resztę dopowiesz nam później wierny przyjacielu!

(Barankiewicz nisko się kłania i odchodzi z Kostusią).

LINCIA, tuląc się z płaczem do matki.

O, moja matko, matko kochana!

KOSTUSIA, wracając spiesźnie.

Jeden z tych panów co to byli wzięci i zawiezieni do fortecy, jest tu, i chce się widzieć z paniami!

MATKA.

O Boże! więc wolny, wraca do domu... co też nam powie?!... proś go, proś, niech wnijdzie!

Scena 4.

MATKA, LINCIA, JAKÓB.

MATKA, idąc naprzeciw Jakóba.

Witaj nam pan i mów... mów proszę! co słyhać tam z kąd przybywasz?

JAKÓB.

Wszystko dobrze! wszystko poszło szczęśliwie! wracam do żony i dzieci i po drodze wstąpiłem by złożyć Bogu dzięki w kościele, a paniom tu moje uszanowania!

MATKA.

Zaledwie śmiem wierzyć uszom moim!

JAKÓB.

A wszystko to zawdzięczamy pani Zdzisławowej! ktoby się tego mógł spodziewać?... Tak jakoś umiała trafić do przekonania prezesa komisji śledczej, iż natychmiast nas wszystkich uwolnić kazał!

MATKA zdziwiona.

Także i męża jej?

JAKÓB.

Także i Zdzisława! wziętym był we własnym domu, przez własnych włościan, w całkiem innej stronie... oczywiście więc do niczego nie należał!

MATKA.

Do niczego nie należał?

JAKÓB.

Tak mniemać należy...

MATKA z niepokojem.

A moi synowie!

JAKÓB.

A! synowie pani co innego! oni naturalnie siedzą!

MATKA poruszona.

Proszę powtórzyć... nie rozumiem pana!...

JAKÓB.

Synowie pani, dotąd uwięzieni.

MATKA, powściągając oburzenie wewnętrzne.

I pan znajdujesz że to naturalnie?

JAKÓB.

Cóż pani chcesz? Pan Juliusz wziętym był zbronią w ręku... pan Jan brat pana Juliusza...

MATKA.

I to tę wiadomość pan śmiałeś mi zwiastować jako dobrą i szczęśliwą?... Mnie, matce?!

JAKÓB.

Pan Juliusz najszlachetniej postąpił... odrazu wziął wszystko na siebie...

MATKA.

I wyście to przyjęli?... wyście z tego skorzystali?...

JAKÓB.

Pani... mam żonę i dzieci!...

MATKA.

Rozumiem... mój syn ma tylko matkę... siostrę... a więc to on wszystko zrobił!... O, tak!... to my wszystkimu winni... (z gorzką ironią) my... Targowiczanie!... Czy nie tak państwo nas nazywaliście?

JAKÓB, zakłopotany.

W istocie pani...

MATKA, nie posiadając się.

O, mów pan, mów, nie wstydź się! to mój syn kował spiski, mój syn wtrącił wszystkich w tę niedolę... mój syn zgubił całą okolicę... nieprawda?

JAKÓB.

Jam tego nie powiedział... ale...

MATKA.

Wasz Zdzisław niczemu nie winien... on o niczem nie wiedział... to nie on był dowódcą w tej nieszczęsnej wyprawie... nie on kazał strzelać... nie on kazał mordować...

JAKÓB.

Pani... na miłość Boską... podsłuchać nas mogą...

MATKA, w najwyższym rozjątrzeniu.

To wszystko zrobił syn mój... a zatem on za wszystko zapłacić powinien życiem swoim, krwią swoją, on jeden, on...

LINCIA.

Mamciu! mamciu droga!

MATKA.

O, idź pan, idź! spiesz się oszukać Boga jak oszukałeś ludzi... padaj na kolana, krzyżuj się, bij się w piersi, dziękuj za to, że niewinny za was cierpi... niewinny za was umrze!...

LINCIA.

O, mamciu!

JAKÓB, cofając się z wolna ku drzwiom.

Pani... ależ ja... ja nic nie zrobiłem... to inni go wydali... tutejsi mieszczanie... sąsiedzi...

MATKA, prawie obłąkana.

Ale pamiętaj, pamiętajcie wszyscy, że rozpacz moja ścigać was będzie! Krew jego na w...

LINCIA, chwytając matkę za podniesioną rękę.

Matko! na miłość naszego Julka!

(Jakób wysuwa się za drzwi).

MATKA, załamując ręce.

O, ja nieszczęśliwa!

LINCIA, cała drżąca.

Uspokój się matko kochana. Wszak bez woli Boga ani jeden włos z głowy mu nie spadnie. Niewinność jego jeszcze się okaże... musi się okazać!... tylko jedźmy zaraz, jedźmy ratować go!

MATKA.

Dziecię moje!... masz słuszność... dziękuję ci...
O, jedźmy, jedźmy!

(odchodzi do swego pokoju i Lincia z nią).

Scena 5.

Zmiana dekoracyi. Forteca. Pokój w którym komisya śledcza odbywa swoje posiedzenia. *Osoby*: prezes komisyi, kilku członków, między którymi pułkownik żandarmów i audytor. Szlachcic polski z Korony, Tomasz żołnierz przy drzwiach. Z boku stoi stół nakryty suknem, na którym papiery i przybory do pisanja. Wchodzi prezes, za nim członkowie komisyi.

PREZES.

Wiedziałem z góry że to tylko mitrega i nic więcej. Co tu szukać winowając kiedy on sam się sławi i ułatwia nam nasze zadanie? — Wzrost jednakowy i niejakiś podobieństwo w rysach...

PUŁKOWNIK ŻANDARMÓW.

Czyniły właśnie konfrontacyę koniecznie potrzebną. Obowiązkiem naszym niezanieść żadnej ostrożności. A nużby był żołnierz poznał i tamtego!...

PREZES.

Chodzi nam przedewszystkiem o zrobienie tu świetnego, głośnego przykładu!

PUŁKOWNIK ŻANDARMÓW.

I o wykrycie całego spisku, o wytepienie całego gniazda buntowników! Alboż nie znacie polaków?

PREZES.

Ja?... Całą młodość moją spędziłem w Warszawie!

PUŁKOWNIK ŻANDARMÓW.

Ale tu nie Warszawa... tu powinien być ruski kraj! Tu do ostatka wszelki zarodek zgubnego elementu wyplenić trzeba!

PREZES, siadając za stół.

Mniemam, panowie, że nam czas wrócić do przerwanej sesyi.

(Wszyscy członkowie zasiadają na okolo stołu).

PREZES, do żołnierzy.

Gdzie indagowany? wprowadzić go znowu?

(Żołnierze wprowadzają szlachcica, który zbliża się do stołu, i kłania się grzecznie).

PREZES, do szlachcica.

Zowią was generałem?

SZLACHCIC.

Tak, wasze wysokie prawosławie!

PREZES, surowo.

Mówiłem już byście się nieważyli nas tak nazywać! Prewoschoditielstwo — słyszycie?

SZLACHCIC.

Tak, wasze prawo... prewo...

PREZES, uśmiechając się.

Dobrze już, dobrze! Dlaczegoż was zowią generałem? służyliście wojskowo?

SZLACHCIC.

Nigdy w życiu, wasze wysokie praw...

PREZES.

Zkądże więc to poszło?

SZLACHCIC.

A no, z Bożej łaski, jak tyle innych godności na świecie! a także i z łaski waszej, wasze wysokie prawosławie!

PREZES.

Jeszcze?

SZLACHCIC.

Przepraszam uniżenie... przekłęty bo język... wasze wy... bodaj do licha!... wybaczajcie, wielmożne kacapy! wasze szanowne pre... wo... scho... dzi... cielstwa! — Terazem dobrze powiedział, nie prawda?

(Komisya śmieje się).

PREZES.

Jakże to z naszej łaski masz być generałem?

SZLACHCIC.

A no tak, widzicie wasze prawoschodzicielstwa. Żebyście mnie spokojnego hreczkosieja, który był Bogu duszę winien i całe życie sobie spokojnie za piecem siedział, z zapieca tego nie wyciągnęli i nie wsadzili do ciupy, gdzieś tam na końcu Bożego świata, to bym jako żywo na generała nie awansował!

KOMISYA.

Oho!

SZLACHCIC.

Bo to widzicie prawosławni panowie! Jakem się ja stary

z siwą czupryną znalazł tu w jednej izbie z młokosami, takim rad nie rad musiał pośród nich rej wodzić! W tamtym końcu się pokłóca, tu znowu się poczubią, ja zaraz z moją powagą: sza, dzieci, sza! — Ten temu figla spleta, zaraz do mnie na sąd, a ja znowu: sza! — A oni do mnie zaraz: panie generale tam — ot i zostałem generałem! kiedy nawet sam pan dozorca rady sobie czasem dać nie mogąc z młodzieżą, do mnie się zwraca po ratunek, zowiąc mię: gospodin generał! — Wiedzicie zatem wasze wysokie prewoschodzicielstwa, że wam zawdzięczam tę wysoką godność!

PREZES, widocznie ubawiony.

No, a w lesie jakże tam było?

SZLACHCIC.

W lesie były i są drzewa, które myślę zciąć i puścić do Gdańska jak mię wasze prewoschodzicielstwa puścicie do domu — bo tam już moja Małgosia bodaj chleba nie ma dla dzieciaków!

PREZES.

No, a jak puścimy do domu, to nie pójdziecie do lasu po co innego?

SZLACHCIC.

Jako żywo! ani mi to w głowie! jak było tak i będzie. Siadę sobie za piecem i będę sobie przygody moje rozpa miętywał.

PREZES.

No, to i ruszajże sobie z Bogiem panie generale, do swojej Małgosi, i o nas kacapach pamiętaj łaskawie — widzisz sam, nie taki djabeł czarny jak go malują!

SZLACHCIC.

Ślicznie dziękuję!... Niechże Pan Bóg sekunduje wasze prewoschodzicielstwa. Nie zapomnę o nich pewnie nigdy, ani za życia, ani po śmierci... i jeśli tylko wolno upraszam o moją dymisyę... o jakiś znaczek, bez którego dezertować bym nie śmiał.

PREZES, podając mu papier z uśmiechem.

Szczęśliwej drogi, panie generale! jesteś wolny jak ptaszek.

SZLACHCIC, nisko się kłania i odchodząc mówi na stronie.

Bywajcież mi zdrowi, prawosławne kacapy! i niech was wszystkich porwą wszyscy djabli!

PREZES, do swoich kolegów.

Nie ma co mówić, dzielny naród te mazury! Ja ich znam, najpiękniejsze moje lata spędziłem w Warszawie! (do żołnierzy) wprowadzić drugiego więźnia!

SZLACHCIC, spotykając się z Tomaszem cicho do niego.

Tylko śmiało, bracie kolego! pleć im smalone duby i kłam co się zmieści, a wygrasz z nimi sprawę!

(wychodzi).

TOMASZ, z głupkowatą miną podchodzi do stołu kłania się nisko, a potem każdemu z sędziów całuje rękę.

PREZES, z ofuknięciem się.

Cóż to znaczy ten głupi polski zwyczaj? Ręce w dół i stać prosto jak słup, a odpowiadać na zapytania! Kto ty?

TOMASZ.

A swój!

PREZES.

Zkąd?

TOMASZ.

A tutejszy!

PREZES.

Jak się nazywasz?

TOMASZ.

A Tomasz, do usług!

PREZES.

Osiół!... Czem się zajmowałeś? co robiłeś dotąd?

TOMASZ.

At sobie, to i owo!

PREZES.

Gdzie mieszkasz?

TOMASZ.

At sobie, tu i ówdzie!

PREZES.

Dokąd jechałeś jednokonnym wózkiem gdy cię aresztowano?

TOMASZ.

A do miasta, po skóry i po podeszwy.

PREZES.

Szewcem jesteś?

TOMASZ.

Z łaski Pana Boga, potrafię buty uszyć temu i owemu.

PREZES.

No, a po drodze nie spotkałeś się czasem z mietieżnikami? — he? —

TOMASZ, dobrodusznie.

A jakże! spotkałem się!

PREZES.

Patrz go! — I widziałeś się z nimi?

TOMASZ.

A toż bym chyba był ślepym, żeby ich nie widzieć!

PREZES.

Gdzieżeś ich napotkał?

TOMASZ.

A wszędzie! Toż ich było po wszystkich drogach pełno, jak szarańczy!

PREZES, zdziwiony.

Pełno powstańców? Co on plecie? (do Tomasza) Jakże wyglądali?

TOMASZ.

At sobie, zwyczajnie jak ludzie! Jedni byli z brodami, drudzy bez brody — ten z toporem, ów z kijem, jaki taki ze strzelbą — a wszyscy z ogromnymi torbami!

PREZES.

Jakto? z torbami? . . . cóż oni robili?

TOMASZ.

Co robili? Zwyczajnie jak łotry mietieżniki, pakowali w torby co się zmieści! rabowali, kradli, zabierali cudze dobro, napadali na dwory, niszczyli, palili . . . Jabym ich wszystkich tych przeklętych mietieżników, tych rozbójników, tych łotrów, na jednej gałęzi powiesił zaraz, bez pardonu!

PREZES, do kolegów.

Z tym głupcem nie ma co gadać! oczywiście najwierniejszych poddanych Najjaśniejszego pana, chłopów tutejszych bierze za polskich buntowników! (do Tomasza) Ruszaj sobie z Bogiem!

TOMASZ, drapiąc sobie głowę.

A dokąd?

PREZES, zniecierpliwiony.

Gdzie sobie chcesz! wracaj do domu szuj buty, kiedyś taki majster!

TOMASZ.

Kiedy taka wola wielmożnych panów, to dziękuję. (Idzie znowu całować ręce komisji po kolei — prezes rękę wyrywa z niecierpliwością).

PREZES, pisze karteczkę i podaje Tomaszowi.

Wynoś się! (do żołnierzy) puście go!

TOMASZ.

Kiedy tak, to niechże będzie pochwalony... (kłania się nisko) A niech się tylko jeszcze z nimi spotkam, dam ja im, tym przekętym mietieżnikom! (odchodząc już na stronie) Lisy trafiły na lisa — i wyszedł cały z tej łaźni! Ale jak wilk trafi na baranka... to go zje! —

PREZES.

Panowie! Na teraz zawiesić możemy nasze posiedzenie (do Audytora) W głównej sprawie nic już więcej nie ma do zrobienia — wszystko skończone. Proszę niezwłocznie całe *dzieło* przesłać do sądu wojennego.

AUDYTOR.

Słucham.

PREZES.

Myśmy zrobili naszą powinność — niech teraz sąd wojenny robi swoją. Wolno nam teraz odpocząć i pójść rozerwać się w wesołym towarzystwie. (Zacierając ręce) Na dobrem winie i ładnych kobietach, nietylko w kochanej Warszawie, ale i tu także nie zbywa. Cóż panowie na to?

CZŁONKOWIE KOMISJI.

Jesteśmy zupełnie waszego zdania.

(Audytor zabiera papiery, wszyscy wstają i odchodzą — dekoracje się zmieniają).

Scena 6.

Obszerna sala w hotelu — drzwi główne w głębi — po obu stronach stoliki nakryte — bliżej sceny z prawej i z lewej sofy i krzesła i wejścia do osobnych apartamentów pod numerami — przy stolikach nakrytych siedzi kilka osób — kelner im usługuje — jedni po drugich wstają, płacą i wychodzą — pozostaje tylko kapitan i każe sobie jeszcze coś podać. Wchodzi Stanisław i idzie naprzód sceny.

STANISŁAW sam do siebie.

Widziałem go... z czerwonej turmy powieźli go do fortecy... las bagnatów go otaczał... nie spostrzegł mię... rozmawiał z obok siedzącym oficerem spokojny, łagodny, uśmiechnięty jak zawsze... cóżby to znaczyć miało?... źle czy dobrze?... nie ma u kogo się dowiedzieć!... (odwraca się jak gdyby chciał wyjść znowu i spotyka się z kapitanem, który był wstał od stołu i szedł ku niemu — witają się).

STANISŁAW.

To pan?... nie poznałem zrazu!

KAPITAN.

A ja na was czatowałem!

STANISŁAW.

Czy jest co nowego?

KAPITAN.

Na miłość boską, czegoż państwo czekacie? Trzeba go ratować! Żadnegoż na to nie macie sposobu? Ja mu proponowałem ucieczkę... możnaby to ułatwić... chciałem nawet, by mię zranił lekko w rękę dla lepszego pozoru... ale gdzież tam, ani blisko! Nie chce nikogo narażać na odpowiedzialność, ani ratować się, opuszczając ludzi swoich...

STANISŁAW.

To do niego podobne!

KAPITAN.

O wszystkich myśli, tylko nie o sobie! Nie zaprzecza nawet fałszywym świadectwom podłych ludzi, którzy go wydają, by ich przed nami nie wstydzic... Tego już zanadto! Przed żołnierzem rannym, który w życiu pozostał, stawiony był wraz z innym więźniem z twarzy i wzrostu nieco do niego

podobnym... I cóż pan na to powiesz? tem tylko cały był zajęty, aby tamtego za niego nie wzięto i nie obwiniono broń Boże!

STANISŁAW.

To mię nie dziwi. A cóż żołnierz? poznał go?

KAPITAN.

Nie chciał go poznać, ale cóż kiedy on go sam, zawsze z obawy jakiejś pomyłki do tego zmusił, mówiąc: Jakże przyjacielu, czyż nie pamiętasz, że to ja, ja właśnie wybrałem ci wszystkie naboje z ładownicy? przypatrz mi się tylko dobrze! Żołnierz mu wtenczas na to: panie, ja was nie wydaję, wyście mi życie uratowali!

STANISŁAW.

Boże! czyż ich to wszystko nie wzruszy?

KAPITAN.

Na rozczulenie sędziów rachować nie należy... mają literę prawa i podług niej sądzą.

STANISŁAW.

Czyż oni nie wiedzą, że nie on był naczelnikiem? Czyż sami o tem w głębi duszy nie są przekonani?

KAPITAN.

Ranny żołnierz jeszcze raz im to powtórzył, ale na prywatne tylko zapytanie pułkownika żandarmów.

STANISŁAW.

Czegóż więcej trzeba?

KAPITAN.

W protokóle ani tego zapytania ani tej odpowiedzi nie masz, indagacye komisji były już zamknięte i wszystko bez przeczytania natychmiast podpisane przez obwinionego... Ja tej spokojnej nieogłędności nie pojmuję! Gdym zaś mu ją wyrzucał, odpowiedział mi: „Cóż chcecie? niezdolnym do żadnej przebiegłości, wykrcęcać się nie umiem — to nie na mój charakter, i nie na moją głowę!“ Widzicie panowie, prawość to piękny przymiot, ale u nas niedaleko z nim się zajędzie!

STANISŁAW.

Ale cóż pan myślisz przecie? co go czekać może.. w najgorszym razie?

KAPITAN.

Możecie mię jeszcze o to pytać?... Kara śmierci niezawodnie!

STANISŁAW z niedowierzaniem.

To być nie może!... upewniano mię przecie... wiem to z dobrego źródła... a nawet od kogoś co do najbliższego otoczenia Jego Cesarskiej Mości należy... że to się wszystko skończy na ulaskawieniu... że Najjaśniejszy Pan zbyt jest miękkiego serca, aby się kiedykolwiek mógł zgodzić na podpisanie krwawego wyroku.

KAPITAN.

To też i nie będzie potrzebował go podpisywać. Zarządzono temu!... Dziś tędy jedzie do Wilna nowy wielkorządca, kat, Murawiew... z tak obszernem pełnomocnictwem i takimi prawami, że władza cesarska tak jak gdyby tu już nie istniała w tej chwili...

STANISŁAW.

Jak to? ten podły człowiek, znany ze swej nikczemności?..

KAPITAN.

Na hańbę dziewiętnastego wieku ma dziś nad wami prawo życia i śmierci!

STANISŁAW.

Znikł był całkowicie z widowni...

KAPITAN.

A teraz go dla was wygrzebano z brudów!

STANISŁAW.

Sam Car nim zawsze pogardzał!...

KAPITAN.

A teraz nań całkowicie przelał swe prawa. Możecie mi wierzyć, wiem co mówię i powtarzam jeszcze, róbcie co tylko jest w waszej mocy i to nie tracąc czasu, by ratować tego młodego człowieka... chwile liczone... a szkoda go bo on szlachetny między szlachetnymi! (Ściska Stanisława za rękę i odchodzi).

Scena 7.

STANISŁAW naprzód sam, później AGATA.

STANISŁAW.

Murawiew... złowrogie i pamiętne w dziejach naszych nazwisko!... Ten, który wiesza i z tego się przechwala... on, co już oddawna krwi ludzkiej nie kosztował... i łaknie jej zapewne i pragnie!... któż się tego mógł spodziewać? kto mógł taki zwrot przewidzieć?... oto więc ręka wybrana na poskromienie narodu walczącego o niepodległość swoją!... oto miecz na nasze karki... ha! na karki buntowników!... miecz uwalany w błocie!... O Boże, broń nas od grzesznej pokusy zatęsknienia za żelazną Mikołajowską dłonią... ale nie, niech sobie mówią co chcą, są niepodobieństwa moralne... jest siła rzeczy, której żaden tyran nie zwalczy, jakiebykolwiek nosił imię! Taki Murawiew dziś niemożliwy!...

AGATA otwierając z wolna drzwi od jednego z numerowanych apartamentów.

Panie Stanisławie! czy to pan? i tu, sam jeden?

STANISŁAW.

Tu pani, i sam jeden w tej chwili... do usług!

AGATA wchodząc mocno poruszona.

Oburzenia mego dłużej hamować mi niepodobna! wyobraź pan sobie, rzucają na nas kamieniami... na nas! i za co?... za to, że Zdzisław się uwolnił szczęśliwie!... ale któż widział w Rosyi do czegokolwiek się przyznawać? któż widział w Rosyi mówić prawdę?... cóżby to narodowej naszej sprawie pomogło, gdyby Zdzisław tak jak Juliusz dobrowolnie siebie gubił? Nie jestże to raczej świętym obowiązkiem każdego ratować siebie, jeżeli tylko może?... Milczysz, panie Stanisławie?...

STANISŁAW.

Milczę pani... bo wiem cobym w podobnym przypadku uczynić powinien, lecz cobym zrobił... nie wiem!

AGATA.

I cóżbys zrobić powinien?...

STANISŁAW.

Heroicznej cnoty od każdego człowieka, niestety! wymagać niepodobna!...

AGATA.

Czyż myślisz pan, że Zdzisław się ratował, aby spokojnie sobie siedzieć za piecem?... on czeka tylko sposobności przebrania się tam, gdzie walka wre jeszcze, by życie swe nieść na usługi ojczyzny. To lepiej zda mi się, niż tu ginąć marnie! A co do Juliusza (ogląda się na wszystkie strony przez ostrożność), patrz pan! (wyciąga z ukrycia papier złożony i podaje go Stanisławowi). Oto własnoręczne Zdzisława zeznanie, że to on był tu sprawcą wszystkiego co się stało. Czegóż więcej jeszcze odeń żądać można?

STANISŁAW czyta podany papier i oddaje go Agacie.

W istocie, gdyby list ten był w rękach komisji...

AGATA.

Będzie w nich, skoro tylko dojdzie nas jakakolwiek pewność, że Zdzisław bezpieczny!

STANISŁAW.

Ale gdzież on teraz? i czego zwleka z daniem o sobie wiadomości w tak naglącej potrzebie?

AGATA.

Bądź pan spokojny... ja sama zmusiłam go do napisania tego listu, bo sława brata droższą mi nad wszystko... i ja sama także...

Scena 8.

CISAMI, NINA wchodzi śpiesznie przez drzwi środkowe wracając z miasta.

NINA półgłosem.

Ciociu, ciociu, zginęliśmy!

AGATA złęknioma.

Co się stało? co?

NINA.

Wszystko wykryte... szkatułka, teka, papiery!

AGATA.

Papiery pana Józefata?!

NINA.

Tak jest... te, co nam dał do schowania!... Niegodziwi ludzie znaleźli... wykopali w ogrodzie... i przynieśli prosto do komisji!

AGATA.

Wielki Boże!

NINA.

A on ciociu, on... przyznał się odrazu do swego prawdziwego nazwiska!

AGATA.

On, taki ostróżny!... cóż mu się stało?!...

NINA.

A co gorsza, to, że bez żadnej potrzeby powiedział także, że nas zna, że u nas bywa...

AGATA.

Że u nas bywał!... a więc lada chwila możemy być aresztowane! (do Stanisława). Widzisz pan, że i my tu nie na różach... że i nam grozi niebezpieczeństwo nielada!

NINA.

Mam też jeszcze dużo do powiedzenia... ale chodźmy ztąd cioteczko!... tu nas podsłuchać mogą... o, jakież to zawód, jakie rozczarowanie! (Odchodzą do swoich pokojów).

STANISŁAW.

Nikt z nas już nie jest pewnym dnia ani godziny.

Scena 9.

STANISŁAW, MATKA, LINCIA, KOSTUSIA, KELNER.

KELNER, wprowadzając damy.

Proszę pani, tu z tej strony są jeszcze dwa niezajęte pokoje — czy mam kazać wnieść rzeczy?

MATKA.

Dobrze, to właśnie czego nam potrzeba.

STANISŁAW, usłyszawszy głosy, idzie szykko naprzeciw wchodzących i wita damy z uszanowaniem.

MATKA.

Jesteś tu poczciwy Stanisławie?... Jakież to spotkanie!

STANISŁAW.

W każdym razie, dobrze żeście panie przybyły!

MATKA.

W każdym razie?...

Kellner tymczasem otworzył pokoje, Kostusia do nich wchodzi z paczkami.

STANISŁAW.

Jak trzeba działać, trzeba używać wszelkich sprężyn... możeby dobrze było, żeby Lincia pojechała do Petersburga.

LINCIA.

Ja?... gotową jestem uczynić wszystko, co każą... ale, cóżbym tam powiedzieć mogła?

STANISŁAW.

Prawda!... powiedzieć co byłoby do powiedzenia i coby pomódz mogło, to wydać tych co się wywinęli szczęśliwie... tego nikt z nas zrobić nie może... a jednak...

MATKA.

A jednak tak jest jak mówiłam od początku?... pomimo wszelkich upewnień, śmierć jest w powietrzu!

STANISŁAW.

Miejmy dobrą nadzieję... jest coś co znacznie wpłynąć może na złagodzenie kary... jest list Zdzisława!...

MATKA.

Nie mów mi o tym człowieku!

STANISŁAW.

Jego siostra i siostrzenica są tu (wskazując na drzwi Agaty), w tym numerze.

MATKA.

Tu, naprzeciw nas?

LINCIA błagalnie.

Mamciu moja droga!

MATKA.

Nie bój się dziecię moje... ja cię już więcej nie zgorzę. Uniosłam się, wymówiłam słowa, którebym odwołać chciała i radabym to naprawić. Wierz mi, potrafię się z niemi spotkać spokojnie...

LINCIA.

Toś stokroć lepsza ode mnie!

KOSTUSIA, ukazując się we drzwiach

Proszę pani na chwilkę.

MATKA.

Idę, (do Stanisława) wszak wrócimy... wszak nas nie opuścisz? (Matka i Lincia odchodzą).

STANISŁAW, sam do siebie.

Serce mi się kraje patrząc na te biedne kobiety...
O Boże! Ty sam policz wszystkie nasze łzy, wszystkie nasze cierpienia!

LINCIA, wracając.

Kochany Stanisławie!

STANISŁAW, ze współczuciem.

Cóż?

LINCIA.

Powiedz mi, tylko szczerze... powiedz mi proszę wszystko!

STANISŁAW.

Nic nie ukrywałem.

LINCIA.

Ja bo mam siły i odwagi dosyć, by usłyszeć całą prawdę...
Dziś, niepewność tylko mię zabija!

Scena 10.

CISAMI, NINA ubrana jak do wyjścia na miasto.

NINA.

Panie Stanisławie! (sposstrzega Lincię). A!... nie wiedziałam, żeście przybyły.

LINCIA. smutnie.

Gdzież nasze miejsce, jeżeli nie tu?

(Podają sobie ręce na powitanie).

NINA.

Prawda! wszyscy tu wielbią i wynoszą pana Juliusza.

LINCIA.

Nie mówmy lepiej o tem.

NINA.

On żyć będzie w potomności!

LINCIA.

Bodajby raczej mógł żyć z nami w chwili obecnej!...

NINA.

Czyż nie wiesz, że sami sędziowie podziwiają go?

LINCIA.

Wiem tylko, że mi serce pęka!

NINA.

Ach! czyjeż serce dziś spokojnie po dawnemu bić może?

LINCIA.

Miałś zda mi się coś do powiedzenia Stanisławowi?
nie przeszkadzam.(Ogląda się i spostrzega Stanisława rozmawiającego tajemniczo
z kapitanem, który był wszedł do sali podczas ostatniej rozmowy).

LINCIA, zniepokojona półgłosem.

Co to za oficer?

NINA.

Nie bój się, to poczciwy człowiek. Bywa często dyżurnym
przy naszych więźniach, i nieraz już nam od nich przynosił
ukłony i bileciki.

LINCIA.

Z jakąż wiadomością mógł przyjść teraz?... Stanisław
wygląda cały pomieszany!

(Kapitan odchodzi, Stanisław wraca naprzód sceny).

LINCIA, drżąca.

Co on ci mówił, Stanisławie?

STANISŁAW.

Miał do mnie polecenie...

LINCIA.

Od kogo?...

STANISŁAW.

Z fortecy...

LINCIA.

O Stanisławie! wiesz o com cię prosiła przed chwilą!

STANISŁAW.

Wiem.

LINCIA.

A więc?...

STANISŁAW.

Są wyroki śmierci... o jednym nawet mówią, że podpisany... na jutro...

LINCIA.

Boże! na kogo!...

NINA, na stronie.

Nie ma wątpliwości!

STANISŁAW,

Jest wielu w tej kategorii...

LINCIA.

I niewiadomo, który pierwszy?...

STANISŁAW.

Niewiadomo...

LINCIA.

Dość, że już jest jeden skazany... skazany na śmierć (dreszcz ją przebiega od stóp do głowy). Jest, dla którego dziś po raz ostatni słońce zajdzie na ziemi... który ostatnią już noc, i po niej ostatnią jutrenkę ma przed sobą... Boże, miej litość nad tym biednym, biednym człowiekiem!

NINA.

Ksiądz Bolesław mógłby nam może coś więcej powiedzieć... on zawsze wszystko wie.

LINCIA.

Prawda!... biegnę do niego... padnę przed ołtarzem pana Zastępów... Stanisławie, idź proszę do mojej matki... powiedz jej, że wyszła na chwilkę i zaraz wrócę... niech będzie o mnie spokojna!

(Stanisław stuka do drzwi matki, otwierają mu je — Lincja wychodzi środkowymi drzwiami i spotyka się w nich z Anną, która z pomieszana twarzą wpada na scenę i zatrzymuje Ninę).

Scena 10.

NINA, ANNA, później AGATA.

ANNA, w największym wzruszeniu.

Gdzie Agata, gdzie? powiedz!

NINA.

Zkąd przybywasz? co ci jest?

ANNA.

Muszę się widzieć z Agatą natychmiast, koniecznie!
Agato! Agato!

AGATA, ukazując się we drzwiach.

Kto mię woła? cóż to? Anna!

ANNA.

Tak, Anna, nieszczęśliwa Anna!

AGATA.

Co się stało? pocoś tu przybyła?

ANNA.

Po co? by naprawić błąd mój! by zmasać mą winę! by powiedzieć prawdę! by wyznać wszystko! by upaść do nóg sędziów! by ratować niewinnego!

NINA.

Co ci jest, na miłość Boga?

AGATA.

Czy ona zwaryowała?

ANNA.

Nigdy przy zdrowszym nie była rozsądku!... głupią być mogłam... musiałam nią być, kiedyście mię za taką mieli, ale zbrodniarką nie będę. To moja, moja wina... to ja nakłamałam przed komisją, ja mówiłam im wszystkim, że Zdziśław do niczego nie należał, a zatem nie kto inny tylko Juliusz był winowajcą!... ja teraz muszę to odwołać!

AGATA, załamując ręce.

Ona teraz gotowa zgubić własnego męża!

ANNA.

Alem ja wtenczas nie myślała, że się to tak źle skończy... nie spodziewałam się, że on moje kłamstwa życiem przypłaci!... teraz widzę cały grzech mój, okropny grzech!

NINA.

Ależ pamiętaj, że miłość chrześcijańska od siebie i swoich zaczynać powinna!

AGATA.

Toż przykazanie nawet każe nam kochać naprzód siebie, a potem dopiero bliźniego jak siebie samego!

NINA.

W obronie życia swego nawet zabić wolno!

AGATA.

A życie męża to jeszcze więcej jak własne!

NINA.

Juliusza już nie wyratujesz, a nas wszystkich zgubisz!

AGATA.

Już i bez tego okropnie jesteśmy skompromitowane, Józefat powiedział, że u nas często bywał... papiery jego znaleziono w naszym ogrodzie... przyznał się do prawdziwego swego nazwiska...

ANNA.

Dajcie mi pokój, z tym waszym Józefatem! Nic się wam z jego powodu nie stanie... ani też jemu... to jego ukrywane nazwisko, właśnie mu dopomoże... ma dobre plecy za sobą.

AGATA, zdziwiona do Niny.

Zkąd ona to wszystko wie?...

ANNA.

Ale mniejsza z tem... niech sobie żyje z Bogiem, choć on tu wszystkiego złego przyczyną! Tamtego tylko ratować muszę! o Boże, Boże! ja nie chcę, by krew jego spadła na nas i na dziecię nasze!...

AGATA.

I dlatego raczej krew mężowską wydajesz na przelanie? szalona!

ANNA.

Biedny, biedny Juliusz!

AGATA.

Powiedz raczej szczęśliwy!

NINA.

Chcesz go pozbawić tej świetnej aureoli jaką jest otoczony?

ANNA.

Nie rozumiem was! nie chcecie mi dopomóc? sama więc sobie radzić muszę! (Odchodzi z pośpiechem).

AGATA.

Dokąd? dokąd?... Nino, biegnij za nią... nie odstępuj jej... gotowa na prawdę niedorzeczny swój zamysł doprowadzić do skutku!

(Nina wybiega za Anną, Agata bierze się za głowę i odchodzi do swego pokoju. — Zmiana dekoracji).

Scena 11.

Kruchta kościelna — za nią widać wewnątrz kościoła — ksiądz Bolesław w komży i stule — kumowie z dzieckiem — potem Lincia jeszcze później Nina i Anna.

KSIĄDZ BOLESŁAW, rozpoczyna chrzest.

Czego żądasz od kościoła Bożego?

KUMOWIE.

Wiary!

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Wiara coć daje?

KUMOWIE.

Żywot wieczny!

LINCIA, wchodzi i staje zdala.

O, Boże! on zajęty... trzeba czekać...

(Kłęka w progu kościoła, po chwili wstaje i podchodzi bliżej).

Modlić się nie mogę! każda sekunda wiekiem!

(podchodzi do księdza i ciągnie go z wolna za komżę).

Księżu dobrodzieju!

KSIĄDZ BOLESŁAW, przez pół zwracając ku niej głowę.

Za chwilę!

LINCIA, sama do siebie.

Boże! ta okropna niepewność!

(Idzie klęknać znowu u wnijscia do kościoła).

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Odrzekasz się ducha złego?

KUMOWIE.

Odrzekam się.

KSIĄDZ BOLESŁAW.

I wszystkich spraw jego?

KUMOWIE.

Odrzekam się.

KSIĄDZ BOLESŁAW.

I wszystkiej pychy jego?

KUMOWIE.

Odrzekam się.

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Orszulo, chcesz być ochrzczona?

KUMOWIE.

Chcę!

(Ksiądz i kumowie z dzieckiem wchodzą do kościoła).

Wchodzi na scenę Anna, spieszy do wnętrza kościoła i tam pada na twarz nieruchoma — Nina za nią wpada na scenę, spostrzega klęczącą w progu Lincię i chwytą ją za ramię.

NINA.

Zdzisławowa tu!... przybywa ze wsi... chce wydać męża... by ratować Juliusza!

LINCIA, smutnie.

Cóż to już teraz pomoże!

NINA.

I my to jej mówimy... napróżno!... nikogo nie słucha... jak obłąkana... powiedz ty jej prośbę... was ona pewno usłucha!...

LINCIA, z boleścią.

Nas?... O, niech czyni jak jej się podoba!

(Zakrywa twarz rękoma — Nina zalamuje ręce i idzie w głąb kościoła).

KSIĄDZ BOLESŁAW, wracając do sieni.

Czemże służyć mogę?

LINCIA, powstaje.

Powiadają, że jest już ktoś na śmierć skazany!

KSIĄDZ BOLESŁAW, wzruszony.

Czy tak? Nic o tem dotąd nie wiem.

LINCIA.

Ale czy tylko wczas się dowiesz, księżu dobrodzieju?

KSIĄDZ BOLESŁAW, z westchnieniem.

Bezemnie się tam przecie nie obejdą... muszą mię zapotrzebować koniecznie!

LINCIA, badawczo.

I doprawdy ksiądz dobrodziej nic nie wie?

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Proszę temu wierzyć.

LINCIA.

Może więc to jeszcze nie prawda!

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Dałby Bóg!

LINCIA.

Ach! (wnosi ręce w górę i odchodzi).

NINA, wychodząc z kościoła.

Księżę dobrodzieju! słówko!

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Cóż?

NINA.

Zdzisławowa tu... całą noc jechała... od zmysłów odchodzi!

KSIĄDZ BOLESŁAW.

A list, przedstawiony w komisji?

NINA, zakłopotana.

List?...

KSIĄDZ BOLESŁAW, badawczo.

Spodziewam się, że już w rękach sędziów?..

NINA.

Jeszcze nie... nie można było...

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Dla Boga! czegoż państwo czekaliście?!

NINA.

Nie miałyśmy pewności co do Zdzisława... ale żona jego chce...

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Co ma czynić, niech czyni prędko!

(W tej chwili Anna wychodzi z kościoła i opuszcza scenę — Nina za nią pośpiesza).

KSIĄDZ BOLESŁAW, ze zgrozą.

I dotąd listu tego nie oddali!... A życie człowieka na tym włosku wisiało! —

Kórtyna zapada.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

A K T V.

Tasama sala w hotelu co w czwartym akcie.

S c e n a I.

Stanisław siedzi na jednej z sof z boku blisko sceny w myślach pogrążony — Lincia wchodzi z wolna środkowymi drzwiami.

LINCIA, sama do siebie.

Nikt nic nie wie... a na każdej twarzy wryty wyrok jego śmierci... żebrak na ulicy wyciągający rękę po jałmużnę, zdaje się na nas spoglądać z litością!... każdy dźwięk w powietrzu mówi mi: on umrze!... Niebo, słońce i chmury... wszystko mi to powtarza bez miłosierdzia... wszędzie, ach! wszędzie widzę, słyszę, czytam to... tylko to!... O, kto przez to nie przeszedł, ten nie wie co to udrczenie! (spozstrzega Stanisława) Ha! Stanisławie... tu jesteś?

STANISŁAW, zmieszany.

Wracasz?

LINCIA.

A matka?

STANISŁAW.

Chciała trochę samą pozostać.

LINCIA.

Nic nowego się nie dowiedziałeś?

STANISŁAW, spuszcżając oczy.

Przeciwnie...

LINCIA.

Mów, tylko prędko...

STANISŁAW.

Ten oficer któregoś pierwej tu widziała... oddał mi dla was... (szuka po kieszeni) od Julka... te słów kilka... (podaje jej świstek papieru).

LINCIA.

Mój Boże! I tak zwlekałeś z oddaniem mi ich! (całuje papier, otwiera go drżącą ręką i czyta) „Matko!... siostró!...

żegnam was... módlcie się za moją duszę!"... (Ręce jej opadają, opuszcza głowę na piersi, ale po chwili podnosi ją i patrząc w górę mówi z boleścią) O, święty Józefie, cóżes nam uczynił?!...

(Przez ten czas matka niespostrzeżenie otworzyła drzwi od pokoju swego, stanęła w nich i przytomną była wszystkim).

MATKA, podchodząc bliżej.

Linciu! daj mi ten papier. Mnie pierwszej on się należy.

Scena 2.

Ci sami, Ryszard zdyszany.

RYSZARD.

Dobłą nowinę państwu przynoszę! pani Zdzisławowa w tej chwili jest w komisji, z listem męża swego!

STANISŁAW.

Nareszcie!

MATKA.

Siebie i nas nie łudźcie zwodniczą nadzieją! Ja ofiarę moją u stóp krzyża już złożyłam!

STANISŁAW.

Być nie może, aby takiego zeznania nie uwzględniono! najmniej co nastąpić powinno w tym razie, to odroczenie spełnienia wyroku i przesądzenie całej sprawy nanowo, a w takim razie będziemy mieli wszystko za sobą... list ten bowiem zmienia całą postać rzeczy i całkiem nowe światło rzuca na cały przebieg tej sprawy!

RYSZARD.

W fortecy między oficerami wzburzenie ogromne... wszędzie znajdują porozrzucane kartki, grożące niedopuszczeniem do spełnienia wyroku!

MATKA.

Tem gorzej! te kartki spełnienie to chyba jeszcze przyspieszą!...

STANISŁAW.

Ależ opinia publiczna coś znaczy... dziś zwłaszcza pomiatać nią niebezpiecznie... nie zechcą tak wręcz jej się sprzeciwić!...

MATKA.

Gdyby to wszystko wcześniej się stało... gdyby wreszcie zamiast martwego pisma sam winowajca się stawił... to co innego! ale list... wiele co napisać można... zwłaszcza zdaleka!

STANISŁAW.

Nie przeczę... jednakże, ufajmy... ufajmy w słusność i czystość tej sprawy. Prawda musi wyjść na jaw i odnieść świetne zwycięstwo! O, niechby tylko przy życiu pozostał, chociażby go do ciężkich robót na całe życie nawet skazać miano... z Syberii ludzie wracają!

Scena 3.

Ci sami, Gimnazysta, potem Kapitan. Gimnazysta wchodzi nie śmiało i chrząka — Stanisław spostrzega go, idzie ku niemu i rozmawia z nim chwilę po cichu — Gimnazysta odchodzi, Stanisław wraca na przód sceny.

MATKA.

Znowu jakaś wiadomość?

STANISŁAW.

Ksiądz Bolesław kazał mi oznajmić, że na dzisiejszą noc wezwanym zostałem do fortecy!...

MATKA.

Widzicie!...

STANISŁAW.

To nic nie dowodzi... rozkaz mógł być wydany przed pojawieniem się pani Zdzisławowej...

RYSZARD, na stronie.

Zawsze ten sam!... czego nie chce, temu nie wierzy (wchodzi kapitan).

KAPITAN, kłaniając się damom z uszanowaniem.

Przepraszam jeśli się stawię w tej chwili; (do Stanisława) ale przychodzę oznajmić panu, że pani Zdzisławowa zatrzymana została w fortecy.

RYSZARD.

Fatalnie!

STANISŁAW.

A list? . . .

KAPITAN.

Chcą w nim widzieć fałszerstwo.

STANISŁAW.

Co?

KAPITAN.

Utrzymują, że napisany teraz, świeżo po czasie . . .

STANISŁAW.

Nonsens!

RYSZARD.

Niegodziwość!

KAPITAN, do Stanisława.

Co więcej, posądzają pana o zmyślenie tego dokumentu . . . i właśnie przyszedłem ostrzedz, że lada chwila możesz być aresztowany.

STANISŁAW.

Na to ostatnie oddawnaam przygotowany! a teraz, Bóg zapłać panu za wszystko . . . za wszystko!

(podaje mu rękę).

KAPITAN.

Żałuję szczerze żem nie mógł zrobić więcej!

(klania się i odchodzi).

MATKA.

A więc kielich trzeba wypić aż do dna! . . . (zwracając się ku córce) Moja biedna Linciu! czy tylko będziesz miała dość siły?

LINCIA.

Ja? . . . ja, nic nie czuję — jestem jak z kamienia!

(podaje ramię matce, matka ją obejmuje, i tak wzajemnie siebie podtrzymując odchodzą do swoich pokojów).

RYSZARD, do Stanisława.

Czy tylko wszystko niepotrzebne u siebie zniszczyłeś? . . . Zapewne będziesz miał w domu rewizję!

STANISŁAW.

Oto bądź spokojny — niczego się nie dowiedzą! ale idźmy ztąd. Nie tracę nadziei do ostatniej chwili. Nie! tej zbrodni oni popełnić nie mogą! —

(odchodzą — zmiana dekoracji).

Scena 4.

Gabinet komendanta fortecy — Komendant wchodzi zwolna z papierami w rękę.

KOMENDANT, sam.

Dziękuję Bogu, że nie ja te wyroki podpisać byłem zmuszony! (siada przy stole suknem zasłanem, na którym stoją przybory do pisania) . . . Niech inni z życia ludzkiego czynią sobie igraszkę . . . ja wolałbym, by mi ręka uschła, niżby jednym pociągnięciem pióra przerwać miała nic żywota człowieka, któremu świat mógł i powinien był jeszcze się uśmiechać! . . . (po chwili milczenia) Dziwny to naród ci Polacy! Jak muchy na miód, tak oni lecą na niebezpieczeństwo! . . . Odważni, jak nikt w świecie, a miękkiego serca . . . życie dla nich zdaje się być niczem . . . śmierć tylko zabawką . . . jak gdyby nie wiedzieli zgoła, że raz jeden tylko człowiek umrzeć może! . . . Weźmijmy na przykład takiego lokaja! . . . (kładzie rękę na papierze, które złożył na stole) . . . Jaka to śmiałość i jakie przywiązanie! . . . Któryż z nasby coś podobnego uczynił dla zwierzchnika swego? Któryż adjutant usłyszawszy wyrok śmierci na generała, rzekłby sędziom, jak ten sługa: „Jam pana mego nigdy nie odstępował, z nim byłem w życiu, z nim chcę być i w śmierci . . . co jemu, to i mnie!“ Gdyby to odemnie zależało, ułaskawiłbym i pana i sługę! . . . Ale pan umrzeć musi . . . a sługa pójdzie do ciężkich robót! Tak chce nasza sprawiedliwość! (zamyśla się) . . . Buntują się, to prawda! . . . co nowe pokolenie podrośnie, to się rwie do broni . . . a jak nie ma broni, to choć do pięści, żeby się wybić z pod naszego jarzma! . . . Ale my sami, czyśmy się nie wybijali z pod jarzma Tatarów? . . . Któż to nam mógł mieć za złe? . . . Myśmy dziś dla nich Tatarami . . . nie uspokoją się, dopóki się nie pozbędą naszej nieproszonej opieki . . . chyba że ich wygubim co do jednego! . . . Czy to możebne? . . . a gdyby i tak było, czy to pożyteczne? . . . Narodowości człowiek nie stworzy, i człowiek nie wytępi . . . to darmo! . . . To dzieło Boga . . . i wieków całych! . . . My, bracia, słowianie . . . mybyśmy się kochać powinni, nie gnębić wzajemnie! Komuż nie

miła swoboda, wiara, ojczysta mowa? . . . Czemuż tego nie uszanować w tych, którzy już i bez tego tyle stracili? . . . Całą winą Polaków, iż nie mogą zapomnieć przeszłej swej wielkości, potęgi i sławy! . . . A cóżeśmy im dali za utracone dobra? . . . A teraz, na jakąż znowu wchodzimy drogę? . . . Naród szlachetny chcemy zniszczyć do szczytu, lub spodlić koniecznie . . . i cóż nam z tego przybędzie? . . . Alboż niedosyć nam własnych podlców u siebie? Przepaść coraz większą kopiemy między nim a nami . . . krew zaś, która popłynie, przepaści tej nie zapełni . . . z szubienic nad nią nie zbudujem mostu! . . . Co gorsza, czem kto wojuje, od tego ginie . . . aby broń, której dziś używamy dla pogńębienia biednych Polaków, przeciwko nam samym się nie obróciła!

(zamyśla się znowu — po chwili wchodzi adjutant i staje zdaleka).

ADJUTANT.

Ksiądz katolicki!

KOMENDANT.

Prosić go tu.

(Adjutant drzwi otwiera, ksiądz Bolesław wchodzi — adjutant usuwa się).

Scena 5.

KOMENDANT, KSIĄDZ BOLESŁAW.

(Komendant wstaje, idzie naprzeciw księdza i podaje mu rękę, ksiądz Bolesław kłania się z powagą).

KOMENDANT, wskazując krzesło.

Pokornie proszę was, siadajcie.

(ksiądz Bolesław siada).

KOMENDANT.

Zmuszony byłem wezwać was dla spełnienia ciężkiego obowiązku. . . Jutro ma być egzekucya . . . a wedle prawa, skazanemu wolno przydać na całą noc duchownego tegoż co i on wyznania, aby go na śmierć przygotował. (ksiądz Bolesław milczy). Ale przed chwilą, zwiedzając więzienie, przechodziłem mimo celi młodego Juliusza. Siedział za swoim stoli-

kiem i tak spokojnie pił herbatę . . . miał tak pogodne oblicze, iż żał mi się zrobiło, żeś was tak wczesnie powołał. . . . Na co mu mięszas spokój tych ostatnich chwil? . . . Dość mamy czasu do jutra.

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Za pozwoleniem pana generała . . . ponieważ już tu jestem, to wolałbym zaraz rozpocząć, co jest jedną z powinności mego powołania.

KOMENDANT.

Jak się wam podoba. Ja wam nie przeszkadzam bynajmniej . . . tylko przez współzucie dla tego młodego człowieka nie chciałbym mu zatruwać ostatnich tego życia, które i tak aż nadto rychło skończyć się musi.

KSIĄDZ BOLESŁAW.

I przez tę dobroć, którą oceniam, pozbawiłbyś pan generał tego młodego człowieka największej i jedynej pociechy, jaka tu jeszcze spotkać go może!

KOMENDANT.

Cóż przez to rozumiecie?

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Pociechy jak najrychlejszego pojednania się z Bogiem, i jak najlepszego przygotowania się do szczęśliwej śmierci.

KOMENDANT.

Podziwiam wasz stoicyzm!

KSIĄDZ BOLESŁAW.

To wiara, panie generale, wiara i nadzieja w spełnienie obietnic bożych.

KOMENDANT.

Zazdroszczę wam tej wiary i tej nadziei! (zmieniając ton)
A więc chcecie natychmiast do skazanego więzienia?

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Jeśli być może, panie generale. Im prędzej, tem lepiej!
(Komendant dzwoni, wehodzi adjutant).

KOMENDANT.

Zaprowadzić tu obecnego katolickiego księdza do więzienia na śmierć skazanego!

ADJUTANT.

Słucham.

(Ksiądz Bolesław powstaje, komendant także — ten ostatni znów podaje księdzu rękę i grzecznie odprowadza go aż do drzwi).

KOMENDANT, wracając w zamyśleniu.

Co to za dziwna ta ich katolicka wiara!

(odchodzi).

Scena 6.

Zmiana dekoracyi — ciemny sklepiony korytarz — stróże więzienia o zbójceckich minach i przygarbionych postawach z latarką zamiatają korytarz, wysypują go piaskiem, zbierają śmiecie do wiaderek blaszanych, wynoszą je i znowu wracają — wchodzi dozorca więzienia, nizki i gruby, w świątecznym mundurze i napędza ich.

DOZORCA.

Prędej, żwawiej... świece zapalić!... Czekał psi synu!... (zbliża się do jednego z lichtarzy przybitych do ściany, poprawia w nim świecę i zapala ją — potem odchodzi i wkrótce wraca znowu, brzęcząc kluczami, a za nim postępują dwie kobiece postacie).

DOZORCA, do nich grzecznie się odwracając.

Tędy, tędy proszę... tylko ostrożnie... niedobrze tu widać...

(Idzie naprzód — Matka i Lineia za nim w milezeniu przechodzą i znikają).

STRÓŻ I, grożąc im ztyłu pięściami.

Idźcie teraz, idźcie... dobrze wam tak!

STRÓŻ II.

Ot, co znaczy napadać na biednych żołnierzy!... Macie teraz broń, karabiny, bagnety... chcieliście kul i prochu... nie bójcie się... nie pożałuję ich wam!

STRÓŻ I.

Wszystkich ich wystrzelać warto, jak psów!

(Zabierają miotły, wiaderka, i odchodzi, mruczą niezrozumiałe wyrazy).

Scena 7.

(Ściana tworząca korytarz znika i odsłania całą więzienną sklepioną — w głębi jej, w grubym murze okno z żelazną kratą, pod niem stolik nakryty, na stoliku krucyfiks — z prawej strony widzów wejście, z lewej przy ścianie łóżko żelazne, na niem siedzi Juliusz, z twarzą rozjaśnioną nieziemskim wyrazem, obok niego matka, u nóg na ziemi Lincia z głową wspartą na jego kolanach — każda z kobiet trzyma jedną jego rękę — ksiądz Bolesław w komży i stule stoi naprzeciw tej grupy oparty o ścianę i przez całą następującą scenę od czasu do czasu lży ociera — matka podnosi z wolna rękę Juliusza do ust i całuje ją, Juliusz z uśmiechem błogim na ustach, jakby oderwany od wszystkiego co go otacza, nie uważa tego).

MATKA, z boleścią.

Z nami jeszcze . . . ale już nie dla nas!

JULIUSZ, wskazując na krucyfiks.

To moja nadzieja, to moja pociecha cała. . . Zaprawdę powiadam . . . dziś ze mną będziesz w raju! . . . Dziś! . . . O, matko, siostró . . . nie smućcie się . . . nie płaczcie! . . . mam mocną nadzieję, że śmierć moja będzie dobrą i szczęśliwą! . . . Ojczyznę sobie wywalczyć chciałem . . . posiędę ją . . . i tej mi już nikt nigdy nie zabierze! . . . Nigdy . . . nikt!

MATKA.

Boże! dziękuję ci . . .

JULIUSZ, proszącym tonem.

Matko, nie miej żalu do Zdzisława! . . . Cóż dziwnego, że się ratować chciałem? . . . każdemu miłe życie!

MATKA.

I on to mówi . . . on, i w tej chwili!

JULIUSZ.

Nie miej żalu do nikogo za wszystko co się stało i co się jeszcze stać może . . . nie narzekajcie nawet wtenczas, gdy się wam będzie zdawało, że wszystko stracone! . . . Bóg, który wie i widzi, co i dla czego się staje, wszystkim też rządzi i kieruje podług myśli swojej . . . i złe na dobre obróci! . . . (patrzac na siostrę) Linciu moja biedna!

LINCIA, tuląc się do niego z czułością.

Braciszku mój! . . . ach! . . . jak już będziesz u Boga, poproś go . . . by już tu nikt więcej nie przeszedł przez co my dziś przechodzimy . . . i abyś ty jeden zapłacił za wszystkich!

JULIUSZ, z czułością.

Dobrze, dobrze moja pocziwa Linciu!

LINCIA.

I poproś jeszcze . . . ach! . . . wstaw się za tym biednym ludem, który nam tyle złego przyczynił . . . prosz, aby go Bóg nie karał tak, jak może na to zasłużył!

JULIUSZ.

O, tak, tak! . . . biedny lud . . . on temu nie winien . . .

LINCIA.

Niech mu nie będzie odjętą wiara jego! . . .

JULIUSZ.

Za tę wiarę właśnie, za świętą wiarę naszą, dobry ksiądz Bolesław pozwolił mi ofiarować krew moją i życie — to wielka dla mnie pociecha!

MATKA.

O, moje drogie dziecię!

JULIUSZ.

Proszę was też . . . pozdrowcie tam w domu odemnie krewnych, przyjaciół, znajomych i domowników . . . myślą każdego z osobna w tej chwili objąć nie mogę, ale sercem obejmuję wszystkich!

LINCIA.

Wszyscy modlą się za ciebie!

JULIUSZ.

Dziękuję im. Polecam także waszej opiece moich biedaków . . . nie odstąpili mię do ostatniej chwili . . . pamiętajcie o nich, jakbym ja sam pamiętał, gdybym żył . . . gorzki żywot ich czeka!

OFICER ŻANDARMÓW.

(wchodzi z zegarkiem w ręku i grzecznie, ze współczuciem nawet, ukazuje godzinę jaką oznacza).

Czas dozwolony upłynął!

JULIUSZ, rzuciwszy naprzód wzrokiem na krucyfix do matki.

Trzeba nam się już rozstać i pożegnać do czasu (powsta-

Jąc z miejsca swego). Dziwno to jednak tak zdrowemu bez żadnej choroby iść na tamten świat!

(Matka i Lincia powstają też).

JULIUSZ, klękając przed matką.

Matko! błogosław mi na drogę wieczności!

MATKA.

Mój synu! . . .

(Wznosi ręce w górę i upuszcza je na głowę Juliusza. — Juliusz wstaje i obejmuje ją w swoje ramiona).

JULIUSZ.

Umieram chętnie, bo widzę w tem wolę Boga!

LINCIA, ściskając brata.

O, mój Julku!

JULIUSZ, robiąc jej krzyżyk na czole.

Do zobaczenia w lepszej krainie!

LINCIA, oczy i rękę wznosząc w niebo.

Tam!

(Matka opuszcza więzienie nie oglądając się już poza siebie — Lincia idzie za nią, przy drzwiach jeszcze się odwraca i wyciąga obie ręce do brata — w tej chwili żołnierze wprowadzają Jana — spostrzegając go, chce się rzucić w jego objęcia, żołnierze nie dopuszczają tego — Lincia odchodzi).

Scena 8.

KSIĄDZ BOLESŁAW, JULIUSZ, JAN,

żołnierze przy drzwiach później oficer żandarmów.

JAN, wpadając w objęcia Juliusza.

Bracie mój, bracie kochany!

JULIUSZ, ściskając go.

Tyś niczemu nie winien, a ja szczęśliwszy od ciebie!

JAN.

Przebacz mi, jeśli był zbyt twardym dla ciebie!

JULIUSZ.

Raczej ty mi nie pamiętaj wszystkiego, co będziesz miał do zniesienia!

JAN.

Nie mów tego!

JULIUSZ.

Tyś miał słuszność Janie! A ja . . . ja idę do ojca . . .
gdy wy sieroty . . . na długie męki skazane!

JAN.

Ty będziesz z nami!

JULIUSZ.

Jeżeli Bóg pozwoli!

JAN, z uniesieniem.

O, wy, którzy odbierając nam życie, już pieśń tryumfu
nóćicie, patrzcie i uznajcie niemoc waszą!

OFICER ŻANDARMÓW, wchodząc.

Panowie! dość tego. . . .

JULIUSZ.

Gotów jestem. . . . Janie, bądź zdrow!

JAN.

Bracie po krwi . . . synu po duchu! Czemuż za ciebie
umrzeć nie mogę!

(Ściskają się długo, żołnierze ich rozłączają).

OFICER ŻANDARMÓW.

Wszyscy zebrani . . . już tylko na nas czekają.

(Daje znak — żołnierze jedni wyprowadzają Jana, drudzy ota-
czają Juliusza — ksiądz Bolesław bierze ze stołu krucyfix i staje
po prawym jego ręku — oficer daje znak znowu — wszyscy
w porządku opuszczają więzienie).

Scena 9.

(Zmiana dekoracji — znowu kruchta kościelna jak pod koniec
czwartego aktu — dziady i baby szpitalne zasiadają w niej —
w kościele widać kłęczące osoby. między niemi Agatę i Ninę —
bliżej drzwi matka w ławeczce z twarzą pochyloną i ukrytą
w dłoniach — dwóch gimnazyastów rozdaje jałmużnę ubogim
siedzącym w kruchcie).

GIMNAZYASTA I.

Na intencję Juliusza! . . . Na intencję Juliusza! . . .

GIMNAZYASTA II.

Aby mu nie zabrakło odwagi aż do końca!

BABA I.

Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech . . . (reszta mrucząc
ciszej)

BABA II.

Zdrowaś Marya, łaskiś pełna . . . (jak pierwsza).

DZIAD.

Kto się w opiekę poda Panu swemu i t. d. . . .

(Wszyscy razem mruczają pacierze).

LINCIA, wchodząc z pośpiechem.

Nie dopuścili mię . . . a tak chciałam być przy nim aż do końca! . . . Boże, mój Boże! . . . (pada na kolana przy ławeczce matki . . . wyciąga książeczkę z kieszeni . . . otwiera ją . . . szuka w niej . . . nie może znaleźć . . . zamyka książeczkę i mówi z pamięci drżącym od wzruszenia głosem.

Niech mu się niebo otworzy, niech go powita święty Michał Archanioł boży, niech wyjdą na spotkanie jego święci Aniołowie, niech go wpuści święty Piotr Apostoł, który ma klucze królestwa niebieskiego . . . Ach! Matko Boska! . . . O, święty Józefie! . . . O Zbawicielu drogi! . . . któryś cierpiał za nas grzesznych. . . .

(Słychać w dali głuchy strzał — Lineia pochyla się i upada na ziemię — inne osoby ją otaczają.)

BABA I.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie . . . (mruczy dalej cicho).

BABA II.

A światłość wiekuista niechaj mu świeci . . . (tak samo).

BABA III.

Niech odpoczywa w pokoju wiecznym.

DZIAD I.

Amen!

DZIAD II.

Z głębokości wołałem ku tobie Panie i t. d.) . . .

(Wszystkie dziady i baby modlą się).

Scena 10.

CIŻSAM I, RYSZARD blady, przerażony, STANISŁAW w największym wzruszeniu — później KSIĄDZ BOLESŁAW i ZAKRYSTYAN.

RYSZARD.

Hańba im i przekleństwo! . . .

STANISŁAW.

Stało się! popełnili tę zbrodnię! . . . przelali krew niewinną! . . .

RYSZARD.

Widziałem go! . . . stałem bardzo daleko i mam wzrok krótki, ale zapragnąłem go ujrzeć raz jeszcze całą potęgą mej duszy. . . . W tej chwili on zwrócił twarz swą w moją stronę. . . . i ujrzałem go tak . . . tak blisko . . . jak gdybym stał tuż obok niego! . . . O, wyrazu tego oblicza nie zapomnę do śmierci! . . . Tak pierwsi chrześcijanie wyglądać musieli gdy szli na śmierć męczeńską! . . .

STANISŁAW.

Boże! daj nam wszystkim łaskę takiej śmierci!

KSIĄDZ BOLESŁAW.

Umarł jak bohater, a bohater chrześcijański! Jak prawdziwy męczennik ojczyzny . . . i męczennik wiary! — O, nie bójmy się tych, którzy zabijają ciało a dusze posyłają do Nieba! . . . ale bójmy się raczej tych, którzy zabijają ducha! . . . Panie! nie daj, by duch narodu naszego po takich ofiarach zginął marnie w ciężkiej próbie, jaką za grzechy nasze nam gotujesz! (Do zakrystyana) Dzwonić!

(Gimnazyaści wbiegają na wschody prowadzące z kruchty na dzwonnice — zakrystyan za nimi — kortyna zapada — koniec aktu piątego.)

K O N I E C.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-220 Warszawa

Tel. 26-38 63, 26-52-31 w. 42



F
623-
632